

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośnikiem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2, k. 50, rocznie rs. 10

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, płatki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka:* Stwierdzenie p. pokoju. — Tydzień polityczny. — *Odcinek:* Głupi Jona przez Jana Nerudę. Przeł. Malwina Posner. — *Życie społeczne:* Ubezpieczenie pleczy macierzyńskiej II. p. J. Wojewódzkiego. — Oskar Kolberg I. p. Ludwika Krzywickiego. — II. H. B. — *Badania naukowe:* Związek zjawisk w czasie i przestrzeni. II. Hypotezy o naturze ciężenia p. Henryka Silbersteina. — *Historia* p. J. F. Gajslera. — *Literatura i sztuka:* Literatura niemiecka p. p. Ladawę. — Robert Browning p. Leona Winlarskiego. — *Literatura polska.* Wincenty Kosiakiewicz: Druty telegraficzne p. Zyg. Plet. — *Fejleton:* Liberum veto p. Poła Prawdy. — Zdała p. Z. Atanazego. — Kronika. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

Szanownym abonentom naszym przypominamy termin odnowienia kwartalnej i półrocznej przedpłaty.

POLITYKA.

STWIERDZENIE POKOJU.

Mowa tronowa cesarza Franciszka Józefa, a zwłaszcza rozwijający ją wykład (exposé) austriackiego ministra spraw zagranicznych przed delegacjami wspólnymi, uważany jest oddawna za okienko kurtyny, przez które zebrani w teatrze politycznym widzowie oglądać mogą, co się przygotowuje na scenie. Tak dawniej bywało; ale od czasu jak stosunki międzynarodowe wyprężyły się do groźnego napięcia, monarchowie i ministrowie boją się dotknąć ich ostrzejszym słowem, ażeby nie pękły. Oprowadzają oni ciekawych wśród prochowni militarysty ostrożnie, z pogaszonymi światłami, ażeby jakaś iskra nie padła i nie spowodowała wybuchu. Tak właśnie uczynił hr. Kalnoky. To też członkowie delegacji wspólnych dostrzegli tylko w mroku bezki z prochem, armaty, karabiny, kule i usłyszeli od przewodnika, że zasoby arsenału i jego magazynów muszą jeszcze się pomnożyć dla... „ubezpieczenia pokoju.“ Ponieważ jednocześnie niemiecki uczestnik trójprzymierzowej spółki zapowiedział podniesienie swej armii stałej do miliona ludzi i napomknął o żądaniu na ten cel już nie milionów, ale miliardów, więc sojusznik austriacki musi w odpowiedniej mierze wzmożyć swoje pogotowie wojskowe i sięgnąć do kieszeni narodów. Wprawdzie uspokojono płatników, że tym razem ich ofiara nie będzie wielką; ale wiadomo, jakie to sztuki czarodziejskie wyprawiają się obecnie w przedstawieniach i rachunkach budżetowych. Na papierze i w mowach ministeryalnych cyfry wyglądają niewinnie,

nawet pocieszająco, wydatki zbyt wysokie maleją na korzyść produkcyjnych, przychód z rozchodem równoważy się lub daje małą i pełną nadziei przewyżkę, nowe zapotrzebowania usprawiedliwione są niezbędną koniecznością, ciężar podatkowy wykazuje wagę puchu; dopiero gdy magiczne przedstawienie się skończy, ludność zaczyna uczuwać, że ją przysięgnęło większe brzemię i że do jej kieszeni wsunęła się głębiej ręka poborcy. Nie wszędzie zaś, jak w Niemczech, znajdzie się Richter, gruntowny znawca i krytyk gospodarki finansowej państwa oraz kuglarstw budżetu wojskowego, umiejący otworzyć oczy nieświadomym na prawdę położenia. Austria takiego znakomitego kontrolera nie posiada, więc wyczerpywanie sił materialnych ludności dla „umocnienia pokoju“ odbywa się łatwiej.

Ostatecznie wszakże zarówno z mowy cesarza, jak z wykładu jej ministra spraw zewnętrznych ludy austriackie nie dowiedziały się niczego, co by ich napełniło otuchą. Rzucono im garść starych plew, garść zapewnień: o bezpieczeństwie pokoju, o pogodnym widnokręgu, o potrzebie nowych a najkonieczniejszych ofiar, o ojcowskiej pieczy rządu itd. W jednym tylko punkcie hr. Kalnoky zabarwił swój różowy optymizm ciemną plamką — mówiąc o Serbii. Przewaga „prądów radykalnych“ nie podobna mu się wiele, a dla niesfornej, kłuszącej łydki austriackiej prasy żąda on kagańców. Pociesza go w trosce o skutki złego sprawowania się sąsiedki tylko ta okoliczność, że Serbia jest za małym krajem, ażeby na bieg polityki europejskiej jakkolwiek wpływ wyrzucić mogła. Za to Bułgaria wydaje mu się dość wielką do sprawienia Austro-Węgrom prawdziwej radości. W wodnistej, szarej, unikającej wyraźnych zaznaczeń gadaninie hr. Kalnokego te dwa szczegóły — sympatii i antypatii względem dwu państw południowo-słowiańskich — stanowiły coś, co ująć było można. Łaknąca też jakichkolwiek faktów dotykających prasa europejska uchwyciła na potoku słów pustych te dwie słomki i wy-

dyma przez nie bańki mydlane fantastycznych domysłów. Tymczasem wątpliwości nie ulega tylko to, że Serbia wyzwoliła się zupełnie z pod wpływów austriackich i że musiała już obudzić wielkie niezadowolenie gabinetu wiedeńskiego, skoro lekki i ostrożny tłumacz zasad i uczuć jego polityki odważył się na stanowczą dla niej naganą. Ażeby wszakże ta apostrofa miała poważniejsze następstwa — nikt rozsądny przypuszczać nie będzie, zwłaszcza gdy nawet Milan, główny pośrednik i orędownik wpływów austriackich, pogodził się z przywódcą potępionych przez hr. Kalnokego radykałów.

Na piersiach Europy, oprócz zwykłej zmory militarysty, nie ciążyła żadna obawa, więc przemowy w delegacjach austro-węgierskich nie sprawiły żadnej ulgi. Nie widziano „chmury“, więc też nie dostrzeżono tęczy. I nadal pozostała w rękach ministrów „stara lira“ z żelaznymi strunami do wygrywania hymnów na cześć pokoju. Kto w niego nie wierzy, ten jest niepoprawnym fantasty. A kto wierzy? Nikt, kto sięga dalej myślą po za bieżące zapewnienia. W Wiedniu, jak w Berlinie i gdzieindziej, stawili się pełnomocnicy ludów i jeszcze raz podpisali akt pokoju, ale otaczające ich działa, przypatrując się tej ceremonii, krzywiły swe stalowe paszcze złośliwym uśmiechem a drżące góry prochu rzucały na udaną radość cieni ponury. „Ciemno wszędzie, głucho wszędzie, co to będzie, co to będzie“ — powtarzał jak w *Dziadach* chór tej uroczystości a szydercze echo mu odpowiadało: „głupio było, głupio będzie.“

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W Niemczech zapanowało wprost przeobrażenie. Nowoobрани sejm radby dogodził monarszei jego wielce sympatycznemu kanclerzowi, chciałby zawiązać z rządem stosunki ścisłej zgody, a tu codziennie stają przed nim rozwiewne lub uchwytne widma stra-

sżliwej wymagalności budżetu wojskowego. Jeszcze przedstawiciele narodu nie ochłonęli z wrażenia, jakie na nich sprawiła wiadomość, że mają uchwalić 18 milionów marek na pomnożenie armii o 18,000 ludzi, a zaraz w komisji minister oświadczył, że powinni przygotować się wkrótce do daleko większych ofiar. Tuż za tą okropną nowiną, zjawiał się projekt podwyższenia pensyj oficerom o 5 milionów marek. Opozycja, która początkowo była szczupła i słaba, pod wpływem tych widm rozszerzyła się i wzmożła. Należy już do niej nie tylko lewica, ale znaczne oddziały prawicy. Żąda ona, ażeby za te ofiary dano narodowi równoważnik w skróceniu czasu służby do lat dwu. Minister wojny wszakże oznajmił, że jest to niemożliwe. Bismark miał słuszość, gdy powiedział do jednego z korespondentów: „tę moją politykę są za głęboko wyłożone, ażeby nowy kanclerz mógł je zmienić.“ Rzeczywiście rydwan państwa toczy się nimi dalej: ta sama, co dawniej, żarłoczność militarystyki, to samo „mnożenie premij asekurujących pokój“, te same sposoby i środki działania. Chociaż cesarz, rozdrażniony nieprzyzwyczajoną i niedyskretną gadatliwością b. kanclerza, kazał rozesłać do swych ambasadorów okólnik z poleceniem objaśnienia obcej rządu, iż Bismark nie wyraża obecnie zamiarów i poglądów gabinetu berlińskiego i nie jest wtajemniczony w jego politykę, Caprivi gra ciągle rolę wykonawcy testamentu poprzednika. Bo gdy nawet proszono go o złagodzenie obostrzeń paszportowych na granicy francusko-pruskiej — odmówił, tłumacząc się, że powody, które tę szykanę wywołały, dotąd istnieją.

Urzędowe organy prasy ruskiej, *Journ. d. St. Petersbourg*, *Nord* a wreszcie *Warszawskiej Dniwnik* donoszą, że skutkiem znalezienia odłamków bomb w lesie Rancy pod Paryżem rząd francuski rozpoczął śledztwo, wykrył i uwięził grupę poddanych ruskich, którzy pozostają w związku z tą sprawą. Nazwiska ich, poprzekręcane w dziwnym pisowni, nie są pewne, brzmią bowiem: Dżemski, Nanatiew, Kacziniew itp. Istnieją pogłoski — powiada *Dniwnik* — że margr. Salisbury gotów jest porozumieć się z innymi rządami europejskimi dla stłumienia anarchizmu, zamknięcia mu

przytulku w Anglii i przeciwstawienia „internacyonalowi rewolucyjnemu“ — „internacyonalowi konserwatywnemu.“ Ale pomijając trudności — mówi *Dniwnik* — jakie mogłyby się nastąpić w Europie, niewątpliwie udaremni wszelkie usiłowania w tym kierunku Ameryka, która stała się schroniskiem dla rewolucjonistów całego świata. Co zaś do sprawy paryskiej, zamieszani w nią sążeni będą pod zarzutem przygotowywania i przechowywania materiałów wybuchowych a po odcierpieniu kary — wydani z granic Francji. *Journal d. St. Petersb.* chwali energię jej rządu i stawia za przykład innym.

Na granicy serbsko-tureckiej wybuchły rozterki poważniejszej natury. Arnauci zapuszczają ciągle swe rozbójnicze zagony, skutkiem czego Serbia oświadczyła Porcie, że w razie dalszej bezkarności opryszków, będzie zmuszona wkroczyć do Macedonii i sama tam zaprowadzić porządek oraz ubezpieczyć swe kresy.

Z grona staro-czechów wyłoniła się nowa grupa umiarkowanych pod przewodnictwem posła Trojana, która ma również wystąpić przeciw ugodzie czesko-niemieckiej. Coraz więcej tedy przybywa rąk pracujących nad poskubaniem tej tkaniny na szarpie.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

USPOŁECZNIE PIECZY MACIERZYŃSKIEJ.

(Dokończenie).

Znamy już społeczno-ekonomiczną rolę żup rumfordzkich i innych dzieł dobroczynnej ręki. Winniśmy teraz dodać słów kilka jeszcze. Filantrop daje pieniądze, lecz żąda wzajemności w wymianie usług. Chce on, aby mu dostarczano pewnych widoków i wymaga tego od ludzi, którym płaci — od praktycznych wykonawców jego dobroczynnych chęci. Ręka ta musztruje zatem dzieci, dziatwa popisuje się swoją moralnością, religijnością i pracowitością przed wielmożnymi i wielebnymi opiekunami i na komendę wygłasza ma-

drość koszarową. Plantator posiadał prawo znęcania się nad niewolnikiem. Czemuż więc dusza filantropijna, która łoży na ochronkę, niema fabrykować z dziatwy marynetek według swego gustu i upodobania, pozbawiać ją niemoralnej rzeźwości i nieprzypożyczonego rozpasywania ruchów? Jest to jej przynależne historyczne prawo własności. Pedagogika ludowa francuska właśnie toczy dzisiaj walkę w imię innego prawa — prawa dziecka do słyszenia tego co je obchodzi i robienia tego, co mu jest przyjemne a podnosi jego zdrowie i ćwiczy umysł. Pani Kergomard, jedna z wspomnianych dwóch autorek, kreśli w tej mierze dość ciekawe szczegóły, ile to trzeba było trudów, aby wprowadzić do programów zasadę, że dziecko jest przede wszystkim małym zwierzęciem, potrzebującym w pierwszym okresie życia tylko ćwiczenia zdrowia fizycznego i że znajomość wypraw Wercyngetyrksa, szaleństw Karola W. lub umiętność wyliczenia departamentów — jest raczej dawką truciźny. Lecz i dzisiaj jeszcze różne tradycje istnieją w całej pełni, a tylko co wymieniona pedagogiczka pyta, czy nawet w rocznicę Rewolucji francuskiej dziecko nie otrzyma deklaracji praw swych. Sądźmy, że poczeka ono w tej mierze jeszcze długo, przynajmniej dopóty, dopóki sam ogół społeczny nie odzyska praw swych dzikich i barbarzyńskich przodków — do posiadania całej wiedzy humanitarnej swego czasu, do oddychania świeżym powietrzem i zjadania dostatecznej ilości pokarmów... Jak widzimy ze wszystkich powyższych faktów, w silnym stopniu podważono jeden z „filarów“, co więcej że sama czynność otrzymała już znamię opieki państwowej. Lecz obraz nasz nie byłby dostateczny, gdybyśmy nie wspomnieli jeszcze o innych próbach, które bezwarunkowo muszą doprowadzić do unarodowienia jeszcze troski o niemowlęta. Leży to najzupełniej w porządku rzeczy. Przecież najmitka posiada nie tylko dzieci trzyletnie i starsze, a ktoś, zanim mu metryka policzy lat cztery wieku, musi przebyć przez szczeble niższe. Matka zaś zajęta po za domem musi być zawsze wolna od obowiązków macierzyńskich i nieskrępowana w swej społecznej działalności wyrzucania na bruk drożej opłacanej siły męskiej. Filantropia też znowu pośpieszyła na pomoc. We Fran-

GŁUPI JONA

przez

Jana Nerudę.

Głupi Jona był jakby stworzony do rozweselenia młodych zbytników. Miał już z pewnością lat osiemnaście, wyglądał jednakże jak trzynastoletnie dziecko. Kiedy powracał od kramarza lub kupca, dokąd go często posyłała matka — na dalszą bowiem nie byłby się odważył drogę — kiedy więc cichutko ku domowi kroczył, chłopaki otaczali go z krzykiem: „Jona, głupi Jona!“ On zaś szedł dalej, wolno, udając, że krzyku ich nie słyszy, posuwał się z trudnością, ciężko oddychając; czasami chwiał się nawet zaczynając i zdawało się, że cienkie nóżki nie są w stanie nieść wcale to ciało. Kiedy więc, nie szcędząc szturchańców, gawiedź uliczna zabiegała mu drogę, Jona zwracał ku niej swe nieruchome, niby z wosku ułane oblicze, a w oczach jego malowała się bezdenne jakaś trwoga. Chwilę zachowywał się spokojnie, potem nagle zaczynał drzeć tak, jak gdyby go śmierć już w objęcia swe chwytala i próbował umknąć na prawo lub na lewo. „Jona, Jona-a-a!“, rozlegały się za nim krzyki ulicznej zgrai. On nigdy się nie bronił.

Przybywszy do domu, oddawał to, po co go posłali, a potem cichutko siadał sobie przy piecu.

— Chodź do mnie, Janku, chodź! Weź stołeczek i siadź tu przy mnie! — mawiała natenczas starsza o rok odeń siostra, smukła dziewczę, o złocistych splotach. I odkładała natychmiast szycie.

Wolno wlokąc za sobą nogi, Janek przysuwał sobie stołeczek na miejsce, które mu wskazywała. Ona układała omroczoną jego główkę na swoich kolanach. Szlochał, że aż litość za serce chwytala. Głaskała i pieściła go, powstrzymując łzy, które jej samej do oczu się cisnęły.

— Ja nie jestem idyotą! Nieprawdaż? — szeptał wreszcie, jakby w trwodze. Słaby jego głosik drżał.

— Naturalnie, że nie! Masz przecie rozum, Janku! Nie zważaj na to, co tamci gadają!

— A ty mnie kochasz i ja nie jestem idyotą! Nieprawdaż?

I twarzyczka idyoty promieniała jakimś nieziemskim uśmiechem.

— Weźże teraz skrzypce i graj!

— Nie chcę słuchać jego ciągłego zgrzytania! Wieczorem może sobie wygrywać na dachu, ile mu się podoba — gderala wtedy zazwyczaj matka. Janek siedział spokojnie i spoglądał na siostrę, bacznie śledząc za każdym jej ruchem.

Matka i brat niczem nie objawiali mu przywiązania — miał więc tylko siostrę i do niej przygnał wszystkimi siłami słabego swego ducha. W sąsiedztwie mówiono o nim, że jest przez ducha świętego natchniony: grał bo na skrzypcach tak, że niktby mu chyba nie dorównał! Że też on „sztuczek“

nigdy nie grywał i że też ta gra jego tak przeudnie piękną była i — tak dziwaczna, jak on sam!

Janek mieszkał w tym samym domu, gdzie i ja pierwszą moją młodość spędziłem. Znał mnie i przy każdym spotkaniu z uśmiechem kiwał mi głową. Mogę śmiało powiedzieć, że pomimo iż trzpiotem wówczas byłem, nigdy żadnej nie wyrządziłem mu krzywdy. Woskowe jego oblicze miało w sobie dla mnie coś świętego. Wyobraźnia dziecka widziała w niem niezaprzeczone jakieś podobieństwo do owych twarzy, co to martwe, żółtawe, przejryste, woskowe, z po za szkieł i ram, z ponad oktarzy na mnie spoziierały.

Było to w sobotę. Późny wieczór letni wszystko w czarodziejską przyobłók szatę. Niebo było błękitne i ciemne jak lazur, tu i owdzie migotały srebrne gwiazdki, a pomiędzy nimi płynął wielki, jasny księżyc, topiąc wody i góry w potoku swych blasków i złotem oblewając strzechy niskich chat i dumnie sterczące wieże kościołów.

Czynne życie, którem wre każde domostwo w każdą sobotę, powoli usypiało. Kobiet, które w dzień po podwórzu się uwiły, a po ukończonej pracy dosyć jeszcze długo stały na wschodach i drewnianych krążgankach, teraz schroniły się już każda do swojej izdebki.

Tylko na galerijce trzeciego piętra siedziało jeszcze dwoje młodych ludzi, dziewczyna i młodzieniec, pilną, zdaje się, zajęci rozmową. Byli zaręczeni, nazajutrz ślub miał ich połączyć na wieki. Narzeczoną by-

cyi istnieje obecnie tak zwane *Société des crèches*, mające na celu ułatwienie przedsiębiorcom kapitalistycznym wyjścia z takiego stanu rzeczy zapomocą środków filantropijnych i wydające nawet własny biuletyn. Przyjmuje ono niemowlęta za opłatą dzienną 10—30 centimów. „Dzięki ochronce robotnica zachowuje możność zarobkowania, nie pozbawiając się dziecka. Raniem przynosi je, podczas dnia, póki nie jest ono odłączone od piersi, przychodzi dwukrotnie nakarmić je, na noc idnieświąteczne zabiera je wreszcie do domu.“ W samym Paryżu znajduje się dzisiaj 43 takich ochronek, w pozostałej zaś Francyi 120. Ochronki departamentu Sekwany, w liczbie 60, liczą rocznie 350 tysięcy dni zajętych, tj. około 8,000 niemowląt jest już porwane wirem społecznego podziału pracy w zakresie pieczy wychowawczej. W powyższej liczbie nie zawarto podobnych urządzeń prywatnych lub fabrycznych, które czasami, jak np. w Guise, stoją na nader wysokim stopniu doskonałości i postępu. Towarzystwo wspomniane znajduje się na liście zakładów użyteczności publicznej. Stąd już tylko krok jeden do przejścia ochronki takich pod kierownictwo państwa. Nie dalekie prawdopodobnie są te czasy, kiedy uspołecznienie obejmie i tę dziedzinę.

Dążymy więc — i to wbrew woli — do unarodowienia w znacznym stopniu pieczy macierzyńskiej; co więcej, zamiar powstających w tym kierunku urządzeń z rąk przedsiębiorców prywatnych na publiczne należy uważać za czyn nader pożądany. Lecz zachodzi jeszcze jedno pytanie. Pewien fakt może ukazywać się w życiu społecznym nawet na bardzo znaczną skalę, lecz mimo to być jedynie zjawiskiem przejściowym. A zatem, czy w podobnym położeniu nie znajdują się wskazane próby unarodowienia pieczy macierzyńskiej? Przytoczyliśmy poglądy pewnej autorki na niezbyt potrzebność szkółek macierzyńskich, lubo że ona sama uważa je za objaw nader niepożądany. Wypowiada ona twierdzenie, że „z czasem“ przykra ta konieczność ustanie, mianowicie kiedy warunki zarobkowania ulegną zmianie na lepsze. Obietnica jest nader mglista, mniejsza jednak o to. Rzecz ważniejsza, że nasza autorka zupełnie nie zdaje sobie sprawy z wywołanych przez za-

kłady macierzyńskie skutków. Naturalnie, mówiąc o tych ostatnich, bynajmniej nie chcemy ich rozpatrywać ze stanowiska interesów dziecka. Jest to istota bezwładna, a zatem bez praw, i podobnie jak dziwnem byłoby żądać od plantatora, aby w swych postępkach kierował się upodobaniami swoich niewolników, tak samo rzadkiem jest, aby w wychowaniu uwzględniano interesy dzieci. Idzie nam o co innego, mianowicie o wpływ rozpatrywanych urządzeń na samą kobietę. Utrwaliło się u nas przekonanie, że obowiązkiem matki jest czuwanie nad jej potomstwem, lecz natomiast nigdy nie zastanawiamy się, czy te wystawiane powinności zaspokajają kobietę, lubo sam fakt istnienia matek bez uzdolnień i popędów wychowawczych daje już wiele do myślenia. Rozumie się, jeśli zwrócimy się do życia, spostrzeżemy kobiety, którym niańczenie i ucieranie nosów zupełnie wystarcza. Lecz dość przypatrzeć się bliżej, aby zrozumieć, że tutaj dużo działa otoczenie społeczne. Owa wzorowa macierzyńskość, w której kobieta wyrzekła się wszelkich szerszych polotów i dążeń własnoosobniczych i stała się istną kwoką, właściwa jest przedewszystkiem tym grupom społecznym, gdzie jedynie mąż zarabia, lecz tak mało, że żona z konieczności staje się niańką. Lecz i taka matka będzie rada, jeśli ukończone małeństwo zniknie na godzin kilka dziennie, byleby znalazło się pod opieką troskliwą. Zamożniejsza zaś, wywołona tem samem z więzów pieczy osobistej, najmuje niańkę lub oddaje dziecko do ogródków froeblovskich, słowem przelewa część obowiązków „naturalnych“ na najmitę. I jednakże nikt w tem nie widzi podkopania rodziny! W Anglii, gdzie 50% dziatwy w wieku 3—7 uczęszcza do publicznych, około zaś 25% do prywatnych zakładów macierzyńskich, matka nie może nie powziąć pewnych dążeń w kierunku własnej swobody indywidualnej. Po kilku pokoleniach, kiedy wolność ta przejdzie w potrzebę, nie musi już kobiety do zrzeczenia się jej na rzecz dziecka. A zatem urządzenia macierzyńskie wyswobadzają w kobiecie szczególne pragnienia, które niedopuszczają do powrotu zwyczajów staroczesnych gdyby nawet warunki zarobkowania uległy najradikalniejszej zmianie. Wprawdzie, istniejącym

zakładom można zarzucić wiele, bardzo wiele. Zarzuty jednak nie dotyczą samej zasady, ale sposobów wcielenia jej. Społeczeństwo tegoczesne jest instytucją nie dla zaspokajania potrzeb swych członków, lecz tylko w celu gromadzenia bogactw i zbierania zysków, a wszelka zasada, nawet najszlachetniejsza, musi doznać wykoszlawienia. Ale tu i owdzie istnieją wzory wyższe, pozwalające zrozumieć, że oddanie pieczy macierzyńskiej osobie trzeciej może być ważnym krokiem postępu. Wystarczyłoby powołać się na urządzenia w Guise, posiadające zresztą jedynie tę doniosłość społeczną, że są czasami silną krytyką teraźniejszości. Unarodowione wychowanie, jeśli oprze się na odpowiednich podstawach, po raz pierwszy w dziejach uwzględni indywidualność dziecka. Wyrwie ono je z rąk nie zawsze powołanych i odda „urodzonemu“ pedagogowi. Gdzie setki dzieci spędzać będą czas razem, tam z pośród rzeszy wydzieli się z konieczności drobniejsza grupa, zespolone węzłem psychicznym sympatyj i upodobań; a wyłoniwszy się każde jako taki związek duchowy mogą znaleźć wychowawcę z odpowiednią „duszą.“ Miedzy nauczycielem a pupilami możliwą będzie owa spójnia podmiotowa, o której nadaremnie marzą nasze czasy. Lecz aby zasada unarodowienia stworzyła te skutki, samo społeczeństwo winno przybrać uprzednio nader odmienną postać — stać się asocjacją wzajemnej pomocy i wzajemnej solidarności.

J. Wojewódzki.

OSKAR KOLBERG.

I.

Mniej więcej przed rokiem mówiliśmy w *Prawdzie* o Kolbergu. Obchodzono wtedy pięćdziesiąt rocznicę niezmordowanej działalności jego w zakresie ludoznawstwa. Nie spodziewaliśmy się, że w następnym czerwcu spadnie na nas inny a smutny i nieprzyjemny obowiązek — pożegnania niestrudzonego etnografa ostatniem wspomnieniem. Nad świeżą jeszcze mogiłą, chcemy rzec słów kilka o znaczeniu zmarłego, już niedostatecznie ocenianem, to znowu przeocenia-

ła Maryś, siostra Janka, narzeczonym — młody, lecz, jak mówiono, nadzwyczaj zręczny starszy robotnik szmucnowieckiej fabryki. Zdarzało mu się teraz właśnie korzystniejsze miejsce, więc i śpieszno było z weselem.

Długo już tak siedzieli. Dopóki dom wrzał ruchem, szeptem mówili do siebie, jak gdyby bojąc się świata zewnętrznego, na sobie tylko chcąc się ograniczyć; teraz, wśród ciszy, gawędzili głośnie, noc przecudną niby na świadka swego szczęścia, swoich przysiąg i planów swych wzywając. Przedziwna musi być błogość w uczuciu, jakie napęłnia serca kochającej się pary w przeddzień ślubu.

Opodał jeden tylko człowiek głośnie od nich wypowiadał im swe uczucia, lecz nie przeszkadzał. Uczucia jego nie tak złocistym już jaśniały blaskiem — było to elegijne westchnienie, przejmujące tony, które na tęskną, fantastyczną składały się dumę. Pieśń tę śpiewał głupi Jona, który zazwyczaj niemy, w tonach był potężny. Wprawdzie nie z piersi tony te dobywał, marnoczielską uczuło jego osłone inną rozwiewała mowa, a rozumiano ją z łatwością, kiedy białe jego palce, to łżej, to mocniej znowu drgającą naciskały strunę, kiedy smyczek przeciągłymi a potężnymi śpiewał tony, lub kiedy dźwięki, niby czałem, powoli zdawały się zamierać. Było to w głupim Jonie tchnienie ducha świętego.

Gra Janka tworzyła jakby akompaniament do gawędki kochanków, a nie przeszkadzała im wcale. Byli zbyt sobą zajęci i do ponurej jego gry przyzwyczajeni. Przy-

zwyczajali się ostatecznie można do wszystkiego, nawet do jęków ludzi umierających z głodu...

Nie widzieli Janka, grał ponad ich głowami.

Dom, któryśmy zamieszkiwali, był stary i obrzydliwie zbudowany. Dwupół jego dach miał z dwóch stron, z podwórza i z ulicy, jakby dwie duże tarcze. Podczas ładnej pogody Janek wpuszczał się ze swemi skrzypcami w utworzone przez te dwie tarcze wgłębienie. I dzisiaj skulił się w swej kryjówce.

Był już w niej, kiedy przyszedł narzeczony siostry. Grał; niezmordowanie, nieskończenie śpiewał jakąś długą dumkę, ciągle jednak elegijnie zabarwioną, lecz ciągle inną w wyrazie. Prawda, że fantazje jego wcale na miano kompozyty artystycznej nie zasługiwały.

Nagle, nie dociągnawszy smyczka, urwał, jak gdyby struny posłuszeństwa mu odmówiły. Ręce wraz ze skrzypcami owisły, tylko wychudłe jego lice, nieruchome, jakby skamieniałe, nadal ku księżycowi pozostało zwrócone. Po długiej pauzie podniósł się z wolna. Ostrożnie złożył skrzypce i smyczek i jakby drząc przed szelestem własnych swych kroków, przesunął się aż do krawędzi dachu. Przechylił się i oczy utkwili w siedzącej na dole parze.

Lekki obłoczek zasłonił księżyc.

Na dole o nim właśnie półgłosem mówiono:

— Zdaje mi się, jakoby Janek niezwykle dzisiaj był smutnym. Czy to już może na koniec mu się zabiera? — pytał robotnik.

Janko kiwa głową.

— On zawsze smutny, biedaczek, szczególnie jednakże od kilku dni — odpowiada Maryś. Zapytuje mnie ciągle, czy też istotnie go opuszcza? Weźmiemy go do siebie, nieprawdaż?

— Z początku niepodobna, może później po niego przyjedziesz.

Pocałowali się.

Janko cofnął się powoli, podniósł się i z wolna, jak wprzód, wrócił na swoje miejsce. Tutaj znowu usiadł, twarz oparł na dłoni i zapatrzył się w tarczę księżycą. Po policzkach spływały mu wielkie łzy, szlochał jednakże słychać nie było. Powoli usta się rozwarły i przerywanym szeptem wymówiły:

— Wiedziałem... nie kocha mnie... tak... jak... jego...

Siedział długo, bardzo długo, a łza za łzą, perliła się po jego licach. Zdało mu się, że boleść go zdusi — zdarł chustkę z szyi i łzy sobie nią ocierał.

Nareszcie zerwał się na równe nogi i znikł w luce dachu. Skrzypce i smyk zostawił.

Niejedną noc Jona na dachu spędzał, zaczęto go przeto szukać dopiero nazajutrz, kiedy Maryś w ślubne już stroiła się szaty. Znalaziono go na strychu, wiszącego na własnej swej chustce.

Dopiero po upływie kilku miesięcy Maryś weselne święciła gody.

Przeł. Malwina Posner.

nem. Upřednio jednak musimy w krótkości skreslić biografię Kolberga, tem bardziej, iż daje ona klucz do zrozumienia charakteru jego trudów ludoznawczych. Urodzony w r. 1815, po skończeniu liceum warszawskiego wstąpił do kantoru bankierskiego, lecz niebawem porzucił to zajęcie i wszedł na drogę, na którą pchało go mocniejsze powołanie. W r. 1835 znajdujemy go w Berlinie, gdzie pracuje nad muzyką. Rzuci się później na pole twórczości artystycznej, i operę jego *Król pasterzy*, grano niegdyś na scenie warszawskiej. Lecz głównie pociągają go ku sobie melodye ludowe; splata też z nich mnóstwo utworów drobniejszych: krakowiaków, kujawiaków, mazurków. W tej pogoni i szukaniu kanwy melodyjnej, zwraca się on coraz częściej do bezpośredniego źródła ludowego. W ten sposób nawiązana została pierwsza nie stosunku pomiędzy Kolbergiem a ludoznawstwem krajowem, coraz silniej splatana w miarę bliższego zapoznawania się z żywym przedmiotem studyów. Ukazują się w r. 1842 *Pieśni ludu polskiego*, prowadzone przez lat wiele. Znajdujemy tu jedynie piosenki i melodye, nie więcej. Lecz powoli zmarły wciąga się w coraz rozleglejszą działalność, jego widnokrąg umysłowy i cele rozszerzają się. Przerzucając wydane prace, widzimy, jak gromadzony materiał staje się różnobarwniejszy, jak obok pieśni i melodyj ukazują się wyliczenie wybitniejszych miejscowości w okolicy wraz z krążącymi w nich podaniami, opisy budowy chałupy wiejskiej i spożywanych pokarmów, używanego stroju i innych rysów charakterystycznych. W dalszych pracach włączone są nadto przesady, wierzenia, tu i owdzie gadki i klechty. Rezultaty tego badania zawarte zostały w dwudziestokilkutomowym dziele: *Lud, jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce*. Wypisaliśmy cały tytuł, aby dać pojęcie o różnorodności gromadzonego materiału. Kolejno przesuwają się przed nami Wielkopolska, Sandomierskie, Krakowskie, Lubelskie, Radomskie, Kujawy. Wreszcie w ostatnich czasach materiał z Mazowsza złożył się na kilka tomów. Prace te, wydane głównie przy pomocy krakowskiej Akademii umiejętności, ogromem swoim wprowadzają każdego w zdumienie, tem większe, jeśli zważymy, że Kolberg wszystko zgromadził przedewszystkiem własnymi staraniami i to w czasach silnej obojętności na takie rzeczy. Pamiętam podziw, wywołany na przeszłorocznym zjeździe folklorystów w Paryżu, opowiadaniem Dragomanowa o owocach działalności Kolberga i warunkach, w jakich pracował, a jest rzeczą niewątpliwą, że każdy z podobnem uczuciem przygląda się całej biblioteczce, którą ułożył z dzieł zmarłego. Wprawdzie winniśmy zwrócić uwagę, że nie zawsze jest to materiał nieznany. Kolberg, mówiąc o pewnej okolicy, miał zwyczaj przedrukowywania wszystkiego, co istniało o niej w zakresie ludoznawczym. Biorę np. tom XVII. Całe dziesiątki stronice, dotyczące się przesądów i gusł, są wprost przepisane z Gluzińskiego. To samo można powiedzieć o opisie różnych osad w każdej części kraju. Lecz nawet odtrąciwszy te przedruki, posiadające zresztą swoją dobrą stronę, stoimy wciąż w obec olbrzymiego materiału, już jednostajniejszego po tem odjęciu cudzych źródeł. Właśnie gusła, wierzenia, leki, zwykle są brane z ręki drugiej, melodye zaś i pieśni zawsze pochodzą od skrzętności osobistej Kolberga.

Z powyższego obrazu możemy powziąć dość dokładne wyobrażenie o kierunku, zaletach i wadach zebranych przez niego skarbów faktycznych. Możemy być pewni, że zawsze tutaj przeważać będzie główne upodobanie Kolberga — muzyka z melodyą, że inne pierwiastki dołączają się mniej lub więcej przypadkowo. Dochodzi do tego, że być może, w pracach ks. Siarkowskiego

znajdziemy np. więcej faktów zwyczajowych. Co więcej, Kolberg zabrał się do ludoznawstwa nie z celem z góry powziętym badania folkloru, lecz był wciągany z wolna różnemi okolicznościami, bez odpowiedniego przygotowania naukowo-zawodowego. Dzisiaj brak takich studyów przedwstępnych daje się mniej odczuć w działalności, niż dawniej. Liczne kwestyonaryusze, wypracowane przez najlepsze siły naukowe w tym lub innym języku, odrazu stawiają zbieracza na właściwym gruncie i powstrzymują od manowców. Wymaga się odeń jedynie rzutkości w zbieraniu, sumiennosci w zapisywaniu, przejęcia się podjętym obowiązkiem — zalet w wysokim stopniu posiadanych przez wydawcę *Ludu*. Atoli Kolberg trafił na inne czasy, gdzie nie podobnego nie było i w braku wykształcenia stosownego musiał stapać po omacku. Można też zauważyć liczne luki lub wady w jego zbiorach, które wypływają jedynie z tego źródła: notowanie np. względnie drobnych szczegółów a nieuwzględnianie innych daleko ważniejszych zagadnień. W przeszłorocznem wspomnieniu zauważyliśmy, że ktoby na podstawie nagromadzonych przez zmarłego materiałów chciał pisać o zwyczajach pogrzebowych, musiałby wyrzec się tego zamiaru. Do tego możemy dodać fakt nowy. W przeszłorocznej *Wiśle* pomieściliśmy rozprawkę o babie jako wróżbie nieszczęścia. Otóż w kilku dziesiątkach tomów Kolberga prawie nie znaleźliśmy do tego przedmiotu żadnych danych. Zdarza się też, że przechodzi on obojętnie obok zagadnień nader doniosłych, na które mógłby udzielić odpowiedź bez żadnego dalszego wglądu się w lud, lecz które pomija milczeniem z braku wskazówek. Mianowicie mamy na myśli antropologię duchową lub raczej artystyczną ludu polskiego. Kolberg zapisywał jedynie pieśni i melodye, lecz z tych notatek możemy powziąć niejaki wyobrażenie tylko o geograficzem ich rozmieszczeniu. Ale z tego niepodobna jeszcze w żaden sposób sądzić o uzdolnieniach artystycznych samej ludności miejscowej. Ilość zebranych melodyj może być jednakowa w różnych częściach kraju, lecz w jednej okolicy jest ona zasobem kilku niezwykle uposażonych jednostek, gdzieindziej zaś rozproszona równomiernie pomiędzy wszystkich mieszkańców. Przy poszukiwaniach swoich Kolberg mógłby z największą łatwością zapisywać podobnego rodzaju objawy i odpowiednio rozszerzyć swe zbiory. Kto tyle miał do czynienia z poezją ludową, zdolałby np. bez żadnego trudu podać wiadomości, jaką liczbę największą melodyj zapisał on u pojedynczej osoby, ile tak bogatych natur artystycznych można napotkać w zwykłej wiosce, w jakich warunkach ukazują się takie typy i jak zachowują się w życiu. Zastanawiam się służąc nad tą kwestyą, ponieważ zajęcie się nią — jak to wzmiankowałem — nie wymagało od Kolberga najmniejszego zaniedbania głównego celu zbioru wątków melodyjnych. Atoli zmarły ani przeczuwał, koło jakiej skarbnicy pytań i studyów przechodził z zupełną obojętnością, że potrzebował tylko wyciągnąć rękę, aby czerpać pełną garścią fakty nader interesujące.

Mówiąc to, bynajmniej nie myślimy ujmować cokolwiek z jego zasług, bezwarunkowo olbrzymich. Byłoby to jednak koniecznością wobec bezmyślnych często odczuć się o naszym ludoznawcy. Nadawano jego pracom charakter naukowy, jakiego nigdy nie posiadają i nie posiadały i niewiele brak, aby ktoś nie porównał go z folklorystami zagranicznymi, zawodowo przygotowanymi do badań. Tymczasem Kolberg jest przedewszystkiem zbieraczem surowego materiału, dość jednostronnym. Uczynił wiele, bardzo wiele, lecz jego działalność nie wylała się i nie mogła wylać z pod warunków historycznych, w których pracował, i przygotowania, z jakim

do dzieła przystąpił. Zrobił jednakże dużo, więcej nawet niż ktokolwiek inny mógłby uczynić — i to pozostanie stałą jego zasługą. Nad świeżą mogiłą możnaby jedynie wyrazić życzenie, aby najprędzej ukazało się więcej podobnie niestrudzonych pracowników.

Ludwik Krzywicki.

II.

Znaliśmy go wszyscy, a od lat kilku spotykaliśmy codziennie w Krakowie, wracającego do domu przy ulicy Sławkowskiej. Była to niezmiernie typowa postać szperacza naukowego. Skromnie, nawet ubogo odziany, przygarbiony wiekiem, nałogową pracą przy biurku, zastanawiał szczególnym wzrokiem, rzucanym przez okulary ze strudzonych oczu i postawą głowy wyciągniętej naprzód, niby w coś wsłuchanej. Z wejrzenia i obejścia nie miał nic w sobie polskiego, nie było też w żyłach jego ani kropli krwi polskiej, a przecież pięćdziesięcioletnią uprawą niwy polskiej prześcignął najgorliwszych jej pracowników i stał się jej chlubą. Ojcem jego był Niemiec, a raczej potomek zniemczonych Kołobrzegów z dawnej ziemi Obotryckiej w księstwie Meklemburskiem, matką zaś — francuzka, córka emigranta z czasów wielkiej Rewolucji. Rodzina Kolbergów, lubo dopiero od początku tego wieku osiadła w Królestwie, tak się całkowicie spolszczyła, że nietylko młodszy syn ich Oskar, lecz nawet najstarszy Wilhelm nie słyszał już w domu innej mowy. Ojciec naszego etnologa, Juliusz, profesor geodezyi, miernictwa i topografii w uniwersytecie warszawskim, zajęty pracą naukową nad mapami i rachunkami, otoczony sześciorgiem dzieci i mnóstwem kart i instrumentów mierniczych, rwał się do swobody i poezji. Tłumaczył w wolnych chwilach poetów polskich na język niemiecki i naodwrot szerzył tu kult poezji niemieckiej (zwłaszcza Herdera). Powiada o nim Brodziński, przyjaciel jego, że „nie znał człowieka z cichszym umysłem, pełniejszym prostoty, jak był Juliusz. Z synów jego, a braci Oskara, wsławił się Wilhelm jako inżynier i geograf, nie tylko z czynności, ale i z dzieł w tym kierunku ogłoszonych, tudzież Antoni, ceniony w swoim czasie jako malarz kościelny i portrecista.

W takim gronie przepędził Oskar pierwsze lata swego dzieciństwa, z którego najdawniejszym i najtrwalej przechowanym wspomnieniem pozostała mu postać ukochanej jego mamki Zuzki, chłopki sandomierskiej, która piastując go jeszcze przez trzy lata, napawała czarodziejskimi nutami piosenek ludowych. Rozwijał się w szczególniej atmosferze rodziny zamieszkałej w Warszawie, a zaprzyjaźnionej z najznakomitszymi osobistościami. Do tego samego pawilonu t. zw. koszar kadeckich sprowadził przypadek tego, który umiejętną formą muzyczną przystroił melodye ludu naszego, rozniósł jej dźwięki po całym świecie, i drugiego, który pieśnią gminną natchniony, skruszył klasyczne okowy poezji naszej i pierwszy nastroił swą lutnię na ton rodzimy — Chopina i Brodzińskiego. W ścianach tego samego domu, gdzie piosnkę zaklinał w tony największy nasz muzyk, a melodye w uroczę słowa — pierwszy romantyk, zamieszkał młodzieniec, którego wkrótce ogarnąć musiał podwójny czar muzyki i poezji ludowej i kazał mu całe życie zbierać na tych obu niwach samorodne kwiaty.

Od lat najmłodszych odznaczał się Oskar prawdziwym darem do muzyki, który rodzice starannie pielęgowali. Krok po kroku zdobywając potem tajemnice twórczości muzycznej najprzód w grze na fortepianie pod okiem Vettera i Elsnera, później w nauce harmonii i kontrapunktu pod przewodem Rungerhagena, który potem i Moniuszkę

kształcił, roił młody kompozytor dla przyszłych utworów swoich drogi nowe i nowy świat tonów, ów świat melodyj swojskich, któremi czarował go w dzieciństwie genialny Chopin w swych improwizacjach. Gdy z naukowej podróży wrócił do kraju, zastał społeczeństwo upojone urokiem coraz to piękniejszych utworów poezji romantycznej.

Wspaniały jej rozkwit wywołał, oprócz płomiennej ekstazy, także chęć do podjęcia poważnych nad ludem badań. Dotychczas uważano lud za ciemną, nieokrzesaną masę, pozbawioną wszelkich szlachetniejszych popędów, niezdolną do żywego odczuwania objawów życia, skazaną jedynie na to, ażeby się wysługiwać nikłej mniejszości wybranych. Pod ożywcem ciepłem, płynącym z Zachodu, zaczęto i u nas zniżać się do wzgardzonych, którzy zdobyli prawo ludzkiego bytu, a jeżeli ten zwrot nie odniósł na razie namacalniejszych skutków, to miał przynajmniej tę dobrą stronę, że odkryto w ludzie skarby, uprawniające go do zajęcia należnego w literaturze stanowiska.

Przykład Zoryana Chodakowskiego, który z kosturem w ręku przeszedł wzdłuż i wszerz całą Słowiańszczyznę, zbierając pieśni, podania i przysłowia, badając zwyczaje, rozkopując kurhany stare, podział elektryzując na cały szereg ludzi wrażliwych. Wacław z Oleska Lipiński, Wójcicki, Żegota Pauli i inni rozeszli się pomiędzy lud, a owocem ich wędrówek były całe tomy pieśni, klechd i melodyj wiejskich, których zjawienie się w ówczesnym świecie literackim niezwykle nabierało rozgłosu.

Nowy ten ruch przypadł na czas młodości człowieka, który dzięki wrodzonym zdolnościom i wrażeniom doznany w latach dziecięcych, był niejako już z góry przeznaczony do odegrania w nim pierwszorzędnej roli — co więcej, do ucieleśnienia niejako tego ruchu w swojej osobie.

W pełnym trudów życiu jego był ów kierunek ludowy ową nicią złotą, około której reszta wątku nawija się jak zwykły podkład. Na szary ten wątek pracy za chlebem, w którą silna wola jego potrafiła wpleść pasmo wyższych pragnień, złożyła się kolejno służba w kantorze bankierskim, prywatne nauczycielstwo muzyki, praca administracyjna w zarządzie kolei żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, a potem w Dyrekcji dróg i mostów, a przez ostatnie kilkanaście lat miejsce rezydenta w gościnnym domu hr. Konopków. Na tle tego życia pracy i obowiązku snuła się bez przerwy wstęga ulubionych „zajęć ludowych.“ Chociaż wcale niezgodna z dążeniami i usposobieniem jego służba biurowa, dawała mu wszakże przez lat prawie dwadzieścia byt spokojny i dość niezależny po za obrębem obowiązków. Pozostawiała mu one nie tylko dość czasu do oddawania się codziennym ulubionym studiom i rozrywkom muzycznym, lecz zarazem zapewniały możliwość robienia dalszych i dłuższych wycieczek w rozmaite okolice kraju. Przy sposobności Kolberg do tych upragnionych wędrówek, z najzabiegiwszą oszczędnością ciułając sobie przez cały rok lub więcej grosz na to potrzebny ze swojej placu urzędniczej. I tym to sposobem, bez nieczyjej pomocy, zwiedził po kolei cały obszar dawnej Rzeczypospolitej. Pierwszy zaś znaczniejszy połów, który tak obfitością jak niepospolitą swoją wartością wewnętrzną uszczęśliwił młodego zbieracza i raz na zawsze skłonił go do poświęcenia się tym badaniom, zdarzył mu się w Wilanowie w r. 1839. Od tego roku, datującym początek zawodu O. Kolberga na polu etnografii ojczystej, nie ustawał on w pracy. W ustawicznych jego wędrówkach po kraju mylnie byłoby wyobrażać sobie Kolberga, wędrującego od wsi do wsi, od karczmy do karczmy, jak to czynił Zoryan Chodakowski o pół wieku przed nim. W owym czasie, gdy nakazywano śledzić i chwycić emisaryuszów demokratycznych,

etnograf z kosturem dostałby się niechybnie w pierwszej wsi galicyjskiej do aresztu. Jakoż zdarzyło się raz samemu Kolbergowi doświadczyć podobnej przygody, gdy wybrał się z przyjacielem Konopką na piechotę do Czerska. Wędrówki swoje odbywał mniej efektownie, lecz bezpieczniej i skuteczniej. Wybierając się w jakąś nieznaną stronę, starał się pozyskać tam sobie zawczasu gościnne przyjęcie i poparcie u kilku osób z inteligencji miejscowej, znających dobrze lud okoliczny i posiadających jego zaufanie. Przy pomocy uczynnego gospodarza przyjaźnił się z miejscowymi grajkami i śpiewaczkami, wyszukiwał sobie starych bazarzów, doświadczone swachy weselne, lekarki itp., których usługę, gadatliwość i otwartość musiał zwykle zdobywać grzecznym poczęstunkiem, podarunkami lub zapłatą.

(D. n.).

H. B.

BADANIA NAUKOWE.

ZWIĄZEK ZJAWISK W CZASIE I PRZESTRZENI.

II. *Hypotezy o naturze ciężenia.*

Powaga myśliciela, jaką dogmatycy nauki usiłowali podszycie bezpłodną fikcją działania z odległości, nie zdołała, od czasów samego Newtona, powstrzymać samodzielniejszych umysłów od zastanowień nad fizyczną naturą ciężenia i od wysnuwania odpowiednich hipotez. Wszystkie one dają się sprowadzić do jednego z dwóch typów, które dla braku miejsca charakteryzujemy tu tylko jak najogólniejszymi rysami.

Dla wielu rodzajów działań, rozchodzących się z jakiegoś siedliska promienisto, tj. we wszystkich kierunkach, wykazano, że polegają one na drganiach w jakimś sprężystym środku, przenoszących się naprzód z mniejszą lub większą prędkością, zależnie od jego sprężystości. Tak się rzecz ma np. z dźwiękiem, światłem, ciepłem promienistym i — jak tego niedawno ostаточно dowiodły doświadczenia Hertza — z pewnymi wpływami elektrycznymi i magnetycznymi. Natężenie wszystkich tych działań maleje w stosunku kwadratu z odległości, zupełnie tak samo, jak to się dzieje z ciężeniem. Najbliższą przeto była myśl wytłomaczenia i tego ostatniego w podobny sposób; ogłoszono też liczne teorie, usiłujące wyjaśnić ciężenie na zasadzie ruchu drgającego w jakimś środku — bądź podobnym do eteru świetlnego, bądź też identycznym z nim a wypełniającym przestrzenie międzyplanetarne i międzycząsteczkowe. Wszystkie te teorie rozbijają się atoli o jeden szkopuł: wymienione działania dla swego rozchodzenia się wymagają czasu, czego dla siły ciężenia nie zdołano dotychczas wykazać. Gdyby mianowicie działania ciężenia, podobnie np. jak światła, rozchodziły się ze skończoną prędkością, to musiałyby one przedstawiać t. z. aberrację. Co to jest aberracja? Zrozumiemy to zjawisko z następującego przykładu. Przypuścimy, że na ziemi ustawiona jest pionowo beczka otwarta od góry i od dołu i że przy zupełnie spokojnym powietrzu pada deszcz tak, że krople jego biegną pionowo. Jeżeli któraś z nich przechodzi przez sam środek obwodu górnego beczki, to w razie, gdy ta jest nieruchomą, trafi także dokładnie w środek dolnego. W wypadku natomiast, gdy beczkę będziemy przesuwali, owa kropla nie padnie w środek dolnego obwodu, lecz obok niego albo też na ścianę; chcąc zaś, aby i w tym wypadku kropla taka trafiła w środek obwodu, należy górną część beczki na-

chylić o pewien kąt w tę samą stronę, w którą ją przesuwamy. Kierunek beczki, reprezentowany przez jej oś, będzie teraz stanowił z kierunkiem pionowym spadających kropli kąt, którego wielkość daje nam właśnie miarę aberracji (zboczenia) stanowiącej, jak widzimy, wypadkową składu dwóch prędkości — spadku kropli i przesuwania beczki. Weźmy teraz zamiast kropli deszczu promień świetlny, pochodzący od gwiazdy, która w danej chwili znajduje się w zenicie, zamiast zaś beczki — teleskop, to chcąc ujrzeć gwiazdę na przedłużeniu osi tego ostatniego, musimy — ponieważ światło dla swego rozchodzenia się wymaga pewnego czasu, a teleskop wraz z ziemią posuwa się po jej orbicie — górną jego część przechylić w stronę obrotu ziemi. Kąt, jaki tworzy wtedy oś teleskopu z kierunkiem pionowym, daje nam wielkość aberracji w położeniu owej gwiazdy, zależną, podobnie jak w poprzednim wypadku, od stosunku prędkości światła i obrotu ziemi. Otóż Laplace obliczył następstwa, jakieby wynikły dla ruchów ciał niebieskich, gdyby ciężenie dla swego rozchodzenia się wymagało skończonego czasu i wykazał, że aberracja ciężenia dałaby się zauważyć nawet w razie, gdyby działania jego rozprzestrzeniały się z prędkością, pięćdziesiąt milionów razy większą, niż światła.

Ale teorie tego typu — które możemy nazwać undulacyjnymi — mają jeszcze jedną trudność do zwalczenia, niemniejszą od tamtej. Ciężenie przedstawia pewne cechy, zupełnie odmienne od tych, jakie znajdujemy u światła, dźwięku i innych działań, polegających na drganiach w środku sprężystym. Światło np. może być zatrzymane przez ciała nieprzezroczyste, kierunek jego może być zmieniony przez ustawienie na drodze promieni pryzmatu itd., słowem natura substancji, znajdujących się między źródłem światła a ciałem oświecanem, wywiera wielki wpływ na natężenie, kierunek i inne jego własności. Tymczasem z ciężeniem rzecz się ma zupełnie inaczej: wszystkie ciała są dla jego działań, że tak powiemy, przezroczyste, nie mogą zmienić ich kierunku, obecność ich nie zmienia wielkości przyciągania dwóch danych ciał, zależnej tylko od ich mas i wzajemnej odległości.

Trudno tedy przypuścić, aby drgania, zachodzące w przypuszczalnym środku kosmicznym, miały stanowić fizyczną przyczynę ciężenia; teorie undulacyjne coraz bardziej też ustępują miejsca t. z. teorii uderzeń, ogłoszonej po raz pierwszy w początku bieżącego stulecia przez Le Sage'a i później dalej rozwijanej przez różnych wybitnych fizyków. Le Sage przypuszcza, że, oprócz cząstek grubej materii, stanowiących atomy zwykłych ciał ważkich, istnieje jeszcze nieskończenie większa liczba cząstek drobniejszych i nieodróżnialnych subtelniejszych, które, przychodząc z nieznanych sfer zaświata, przebiegają przestrzeń we wszystkich kierunkach z olbrzymią prędkością — są to t. z. „ciałka pozaświatowe.“ Otóż gdyby tak było, to uderzenia tych ciałek o cząstki grubej materii musiałyby sprawić, że każde dwie takie cząstki albo dwa takie ciała przyciągłyby się wzajemnie z siłą, dokładnie odpowiadającą Newtonowskiemu prawu ciężenia.

Gdybyśmy mianowicie mieli tylko jedno takie ciało ważne, dajmy na to tarczę, to, ona, będąc ostrzeliwaną ze wszystkich stron z jednakową siłą, nie poruszałaby się w żadnym kierunku. Umieścimy natomiast w pewnej odległości od tamtej drugą tarczę, a rzecz się zmieni: każda z nich bowiem będzie ochraniała drugą przed częścią pocisków i obie będą po stronach, odwróconych od siebie, doznawały więcej uderzeń, niż po stronach, zwróconych ku sobie, wskutek czego muszą naturalnie się zbliżyć — będziemy więc mieli prawdziwe przyciąganie. Rachunek pokazuje, że wielkość tego przy-

ciągania zmienia się w stosunku odwrotnym do kwadratu z odległości, a więc pod tym względem zgodnie z powyższem prawem. Ale nie na tem koniec. Przedstawmy sobie te same tarcze, zwrócone do siebie raz ostrymi brzegami, drugi raz — płaskimi ścianami: oczywiście, że w pierwszym wypadku będą się one wzajemnie ochraniały przed daleko mniejszą ilością pocisków, a więc będą się przyciągały słabiej, niż w drugim, jakkolwiek masy ich zostały niezmienione. To nam pokazuje, że gdyby owe ciała tylko uderzały o ciała ważkie i następnie się odbijały, wówczas koniecznie wielkość przyciągania się tych ostatnich zależałaby od ich powierzchni, nie zaś od mas, jak tego wymaga prawo Newtona. Dlatego też Le Sage robi dalsze przypuszczenie, iż ciała ważkie są na tyle dziurkowate, albo — jak on się wyraża — klatkowate, że owe ciała nie tylko uderzają o ich powierzchnie, ale w daleko większej jeszcze ilości przenikają do ich wnętrza i zupełnie przez nie przechodzą tak, że wszystkie cząstki materii grubej, zarówno wewnętrzne, jak i znajdujące się na powierzchni, doznają w równym mierze uderzeń od owych ciałek; w takim zaś razie przyciąganie się dwóch ciał jest już proporcjonalne do iloczynu z ich mas. Później różni uczeni obliczali, jaki stopień dziurkowatości powinna posiadać materia gruba, ważka, tj. jak wielką musi być odległość między dwiema jej sąsiednimi cząstkami w stosunku do średnicy tychże, ażeby z założenia Le Sage'a wypływało prawo ciążenia powszechnego.

Oddając należny hołd genialności tej hipotezy, należy jednak z drugiej strony przyznać, że przedstawia ona bardzo ciemne punkty. Nie wiemy nic o pochodzeniu ani samych owych ciałek pozaświatowych, ani też zasobu energii, jaki one z sobą przynoszą. Co zaś najgorsze, teoria ta — jak to wywodzi Maxwell — trudno daje się pogodzić z zasadą zachowania energii. Bądź jak bądź, wielu fizyków — pomiędzy innymi Stewart i Tait — są zdania, iż tylko na tej drodze da się kiedyś dostatecznie wytłomaczyć prawo ciążenia powszechnego i że trudności są tu w każdym razie daleko mniejsze, niż przy hipotezach pierwszego typu.

Zagadkę ciążenia usiłowano wysświetlić nie tylko na drodze teoretycznej, ale i doświadczalnej: starano się sztucznie wywołać objawy przyciągania między dwoma ciałami, powodując zmiany w otaczającym je środowisku. Już Huyghens i Hooke okazali, że ciała, pływające na rozfalowanej wodzie, przyciągane są ku punktowi, z którego się rozchodzą wstrząśnienia. Nadzwyczajne zaciekawienie wzbudziły kilkanaście lat temu — zdaje się jednak tylko pośród fizyków angielskich — doświadczenia Guthrie, który okazał, że lekkie ciała, zawieszzone w pobliżu wirującego krążka, zbliżają się ku niemu, jakby „przyciągane niewidzialnym szmerem.“ Zupełnie podobne doświadczenia wykonał później na rozległą skalę badacz francuski Weyher^{*)}, nadając im tem większe znaczenie, że zdołał sztucznie naśladować zjawiska różnych wirów powietrznych, jak cyklonów, orkanów, dalej trąb morskich itd. Przedmiot ten zbadał także teoretycznie p. Gosiewski^{**)}, który obliczył, że np. wirujący młyn — tj. bębny opatrzone kilku promienistymi osadzonemi łopatkami — przyciąga znajdujący się w pobliżu krążek z siłą, odwrotnie proporcjonalną do kwadratu z odległości (co przedtem doświadczalnie stwierdził Weyher) i wprost proporcjonalną do kwadratu z prędkości swego obrotu (co wymaga jeszcze praktycznego potwierdzenia).

^{*)} Patrz szczegółowy opis tych nader ciekawych doświadczeń we *Wszechświecie* za r. 1887 nr. 21 i 24.

^{**)} Odnośna rozprawa drukowana jest w XIX tomie *Rozpr. i Spraw. Wyd. Mat. Przyrod. Ak. Um.* w Krakowie.

Jakkolwiek teoretyczne i doświadczalne próby wykrycia fizycznej natury ciążenia nie doprowadziły jeszcze do pożądanego rezultatu, to jednak, jak to widać z powyższego, zbagaciły one, bądź co bądź, naukę oryginalnymi pomysłami, ciekawymi rachunkami i doświadczeniami. Tymczasem hipoteza, stanowiąca głosząca działanie z odległości bez pośrednictwa wszelkiego środka jako ostateczną, niedającą się już dalej wytłomaczyć własność materii, zwalnia tem samem badaczy od wszelkich dalszych w tej mierze dociekań i — według wyrażenia Kanta — „uspia ich rozum na łożu ciemnych jakości.“

Henryk Silberstein.

HISTORIA.

Dr. Antoni Rezek: *Děje Czech a Morawy za Ferdinanda III až do konce trzicetileté walky (1637—1648)*. Praga, 1890 r.

Dr. Antoni Rezek, były redaktor *Historického Sborníku* dał się już poznać kilkoma monografiami, między którymi przedniejsze zajmują miejsce dwie rozprawy, dotyczące elekcyi i panowania Ferdynanda I. Z pracy tej poczerpnąć mogą historycy nasi niemało szczegółów z powodu spólczesnej z Ferdynandem I kandydatury Zygmunta I Jagiellończyka.

Czasy po przytłumieniu kalwinizmu w Czechach i na Morawach znalazły w p. Rezeku przedmiotowego i krytycznego badacza. *Děje Czech i Moraw za Ferdinanda III* stanowią cenny do dziejopisarstwa czeskiego przyczynek. Autor na zasadzie nieznanych dotąd źródeł kreśli nam charakterystykę Ferdynanda III, który w stosunku do fanatycznego ojca był monarchą łagodnym i wyrozumiałym. On to pokojem westfalskim (1648 r.) zakończył krwawe boje, przytłumiające wszystkie zdobycze kulturalne epoki Odrodzenia. Ogromne przestrzenie pod berłem Habsburgów przedstawiały wtedy jedną pustynię. Z zachodu francuzi sprzymierzeni ze szwedami zagrażali rzeszy, ze wschodu zaś turcy najeżdżali Węgry. W Siedmiogrodzie, następcą Betklena Gabora ks. Jerzy Rakocy wdychał do niepodległości, to też z utajoną w sercu radością śledził najazdy Turków, których skrytym był sojusznikiem. Sam nawet Urban VIII papież, więcej będąc włochem niż katolikiem, sprzymierzył się przeciw Austrii z Francją i szwedami. Nieprzyjaciele Habsburgów, gwoździ ich zniweczeniu, pokrzepiali wzrastający w Niemczech partykularyzm. Radzi też opieki swojej udzielali wygnancom czeskim. Usiłowali oni zapomocą setek broszur i pamfletów wytworzyć wśród książąt rzeszy opinie, że panowanie Habsburgów jest zgubnem nie tylko dla swobód, ale i dla odwiecznej państwa rzymskiego tradycyi, według której, elektorowie zgodnie z artykułami złotej bulli Karola IV, obierali królów niemieckich. Agitacje wybuchnęły niebawem płomieniem wojny, która i Czechy przez najazd szwedów ogarnęła. Okrom klęsk, nie innego pobratymcy nasi w rzezi tej nie uzyskali. Autor jasnymi barwami kreśli nam stan ekonomiczny kraju, prawa, administrację i kościół, najważniejszy wówczas czynnik cywilizacyjny. Jezuici, mający za sobą samego nawet Ferdynanda III, byli samowładnymi wszędzie panami. Oni też zawładnęli uniwersytetem. Naprawdę arcybiskup prazki, kardynał Harrach, usiłując założyć oddzielne pod jurysdykcją swoją seminaryum, zamierzył poskromić zachwałych synów Lojoli, nie uznających zwierzchności arcybiskupa, z ramienia kuryi rzymskiej na stolicy posadzonego. Jezuici, mimo klątw Urbana VIII, ani na koniec palca z uroszczeń swoich nie ustępowali. To też sprężystości i stanowczości tych zakonników zawdzięczają

czesi przytłumienie swojej oświaty. Potrzeba było dopiero nowych prądów humanitarnych XVIII stulecia, które, zniweczywszy czarnych stróżów ciemności, przygotowały z czasem podwalinę do odrodzenia się narodowego.

Praca ta przedmiotowa, wolna od wszelkiej tendencji, wyszła dotąd w dwóch zeszytach, całość składać się ma z czterech. Niema w dziele p. R. owego sztucznego spajania faktów dla wykrycia właściwej ich przyczyny. Metoda taka grzeszy doktrynerstwem, właściwem szczególniejszym umysłem niedojrzałym. Historyk nasz przystąpił do badań bez wszelkich z góry nakreślonych pomysłów, zadawał się jeno istotnymi faktami.

J. F. Gajster.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA NIEMIECKA.

6 czerwca.

Najnowsza próba stworzenia powieści berlińskiej: Heiberga „Dunst aus der Tiefe.“ — Wolna miłość i poligamia w oświeceniu poezji: Wahlheima „Aus freier Wahl“ i Jensena „Doppelbeben.“

Powieść berlińska, „Der berliner Roman“ — oto szczyt ambicji dzisiejszych beletrystów niemieckich. Oprócz Lindaua i Fontanego cały szereg autorów *minorum gentium* kusił się o stworzenie tej powieści, lecz żadnemu z nich nie przysłała krytyka, że zdołał istotnie odzwierciedlić w swym utworze cały obraz życia berlińskiego. Wobec tego wzięli się oni na inny sposób: wypisują sami na karcie tytułowej ten epitet, którego im głos opinii powszechnej odmawia. Taką tytułarną powieścią berlińską jest najnowsze dzieło Hermana Heiberga, który sławę zdobył w ciągu lat ostatnich obniżył nieco swą przedostatnią pracą „Esters Ehe“, nacechowaną nieśmiałym filosemityzmem, a nie powiększył jej chyba utworem ostatnim „Dunst aus der Tiefe“, w której znów barwi się nieśmiały antisemityzm. Podobnie jak „Fliegende Blätter“, uwzględniając szeregi swych żydowskich abonentów, nigdy nie występują z antisemityzmem zdecydowanym, wyraźnym, poprzestając jeno na zaznaczeniu pochodzenia figur ośmieszanych w rysunku, Heiberg zadawała się również kreśleniem postaci takich, jak koniarz Mendel i bankier Simon, nie wspominając wcale o ich wyznaniu i rasie. Nie w tem jednak przy czyna, że powieść jego stoi na wyżynie poprzednich utworów. Winna temu głównie wadliwa kompozycja, przejęta z romansów sensacyjnych. Utwór Heiberga zawiera właściwie dwa, przeplatające się w formie rozdziałów niepowiązanych treścią. Zdaje się czytelnikowi czasem, że przegląda tygodnik ilustrowany, mieszczący ustępy różnych powieści, obok siebie drukowanych. Z rozdziałów, kreślących dzieje towarzystwa zbrodniarzy, przechodzimy wprost do obrazów z życia wyższych sfer towarzyskich; przy końcu dopiero bohaterka jednej powieści przypadkiem dostaje się do grona figur drugiej. Zresztą Heiberg pozazdrościł wawrzynów Eugeniuszowi Sue; przekonawszy się, że niepodobna mu zostać niemieckim Zolą, pragnął zostać bodaj niemieckim Sue. Atoli recepta ostatniego zaleca niesłychaną ilość zbrodni i bezdennej nikczemności mieszać z nadziemską szlachetnością i bezinteresownością, Heiberg zaś nie zrównoważył złodziejów, zbójców i rozpustników swych legionem aniołów. Że jednak jest on talentem prawdziwym, większym, który obecnie jeno zeszedł na bezdroża, o tem świadczy dramatyczna osnowa powieści kryminalnej i świetna, subtel-

na charakterystyka postaci, zaliczanych do t. zw. towarzystwa. Berlińczyków zajmie jego utwór tem najbardziej, że niektóre postacie, jak np. adwokat Ignis, bankier Simon, p. Priminil i śpiewaczki, znane są im z życia.

Równocześnie niemal pojawiły się dwie powieści, osnute na pokrewnej nici przewodniej: ideały życia istnieją tylko w myśli, w jednostkach wybranych, ile razy zaś zechcemy urzeczywistnić je, rozbijają się one o właściwości natury ludzkiej. Można odezuwać najgłębiej powołanie do stworzenia sobie stosunków idealnych, lecz stwarzając je, zazwyczaj trzeba ginąć. Bohaterem powieści Wahlheima „Aus freier Wahl“ jest dyplomata baron Felseck, człowiek o wyższym umyśle, sercu szlachetnym, rycerskim, obdarzony nadto wybitnym temperamentem. Poślubiwszy hrabinę Trautenau, którą kochał prawdziwie, nie znalazł szczęścia małżeńskiego. Piękna żona jego, skłonna do kokieteryi i do stosunków świeżych, nadużywała miłosnego jego zaślepienia, oszukując go z rafinowaną przebiegłością. Rycerski Felseck, przekonawszy się o zdradzie żony, nie wygnał jej z domu, lecz pod naciskiem odkrytej winy sama ona ustąpić musiała. Czyniąc to, nie chciała zgodzić się na rozwód. Felseck przeżył lat parę rozgoryczony; dola jego rozjaśniać się dopiero zaczęła, kiedy poznał pannę Walden, której natura silna, szlachetna i jasna uszczęśliwiała go. Obecując przez czas dłuższy z tym dzielnym, zacnym człowiekiem, pokochała ona go głęboko, a kiedy Felseck traci wzrok i ma ociemnieć, zapomina o sobie, opuszcza dom rodzicielski, zrywa z otoczeniem zwykłym i łączy się z człowiekiem żonatym, pragnąc mu być podporą w nieszczęściu. Pogarda świata zwała się na kobietę, która obraziła porządek uświęcony. Nie czuje ona kłóćców męczeństwa, póki stosunek jej z przyjacielem opiera się na czystej, głębokiej, wzajemnej miłości. Już czytelnik wierzyć zaczyna, że to wzbicie się ponad utrwalone normy życia, to śmiałe pokonanie przesądów ludzkich zapewnić może naturom wyższymi szczęście: lecz autor z głęboką prawdą wykazuje, jak pierwiastki czysto ludzkie, niższe, a jednak i niepospolite ludzkości, własności, podkopują tę harmonię. Tragizm stosunku występuje z chwilą, w której Felseck po przebyciu operacji odzyskał wzrok. W Karolinie Walden budzi się kobieca zazdrość. Wyrzuca ona Felseckowi, że mógłby się dać uwieść ponownie piękności swej żony i namiętne przeciw niej występuje. On zaś znajduje się w położeniu fatalnem: nadludzka troskliwość, z jaką Karolina pielęgnowała go podczas choroby i śmierć ukochanego dziecięcia zniszczyły jej piękność, twarz jej blada i smutna, postać pochyłona oziębiają coraz bardziej miłość jego ku kobiecie, dla której czuje wdzięczność najgłębszą. Lecz Karolinie pozostało tyle jeszcze szacunku dla siebie samej i dla ideału, że nie poprzestaje ona na miłości równającej się jałmużnie; nie chcąc splamić wspomnienia stosunku idealnego, opuszcza Felsecka bez goryczy i wraca do sędziwej matki. Życie jej jest złamane.

Powieść Wilhelma Jensena „Doppelleben“, przewyższa utwór Wahlheima pogłębieniem filozoficznym. Chciał w niej autor uwidocznić owe dwoiste w człowieku życie: jedno, obejmujące nadzieje, marzenia ideały, drugie, wiążące się z biegiem losu rzeczywistego. Dwa te prądy nie łączą się zwykle w strumień jasny i czysty, lecz przecinają się i mącą, wytwarzając żal. Kapitan Karol Lundmark w innym jeszcze znaczeniu wiecie dwoiste: zaślubił on dwie małżonki, jedną w Europie, drugą w Ameryce; żyje na przemian z jedną i drugą i dwie posiada rodziny, z których jedna nie wie o istnieniu drugiej. Lecz nie jest on bynajmniej rozpustnym awanturnikiem; jest to człowiek o poglądach

idealnych, wyższy ponad konwenanse moralne, dążący do harmonii z własną naturą. Harmonię tę znajduje on jedynie, czyniąc zadość wrodzonemu swemu prawu życia. Prawo to powiada mu, że monogamia opiera się jedynie na woli ludzkiej, nie na naturze człowieka; że własna jego natura zniewala go do ulegania dwoistej tęsknocie i miłości. Przed trybunałem sumienia jego norma jest pustem słowem; przeciwstawiając własne przekonanie samowoli milionów, sądzi, że nie tylko nie zgrzeszył przeciw przyrodzonemu prawom ludzkości, lecz owszem według ich myśli działał. A przecież człowiek ten, którego poglądy są tak jasne i zdecydowane, którego energia jest tak wielką, a przezorność tak niepospolitą, że przez lat dwadzieścia ukrywać umiał skomplikowany aparat swego szczęścia, upada wreszcie pod ciężarem obaw, trosk i goryczy, rodzących się z chwilą, w której dwie jego rodziny wzajemnie o sobie się dowiedziały. Dzieci jego amerykańskie schodzą się przypadkowo w porcie niemieckim, a Manuela i Annę łączy niebawem miłość namiętna. Lundmark, zanim sam z życiem się żegna, rozrywa młodą parę, z obawy, że kiedyś wola ustaw ludzkich rozdzieliłaby ich mogła, niwecząc na zawsze ich szczęście. Bez tej obawy nie byłby targał ich miłości, gdyż „brat a siostra, to jedno słowo, wymyślone przez ludzi, aby miłość waszą nazwać zbrodnią i zniweczyć ją — nie zakaz przyrody.“

Ladawa.

ROBERT BROWNING.

Asolando (Fancies and facts.) Londyn, 1889.

W Westminsterze, obok największych geniuszów, jakimi ludzkość poszczycić się może, spoczął Browning. Umieścili go tam „dumni synowie Albionu“, znani ze swej oszczędności i praktyczności — jest to bowiem najtańszy i najłatwiejszy sposób sprawienia sobie wielkiego człowieka w naszych czasach, tak jałowych pod tym względem. Wprawdzie przypadek zanosił już wielu karłów pod dach słynnego opactwa, ale to takich, których urodzenie postawiło na szczycie — nie duchów, lecz grzbietów ludzkich; dzięki czemu wszelkie Browning znalazł się w Panteonie angielskim, trudno zrozumieć. Na bezrybiu i rak jest rybą. Jeżeli posłuchać niektórych krytyków angielskich, to wypada, iż nigdy nie było większego poety, a szczególnie dramaturga nad Browninga. On, proszę was, stworzył dramat psychologiczny, on na miejsce „teatru zewnętrznego“, wyrażającego się w czynach, postawił „teatr wewnętrzny“, polegający na analizie duchowej, on „wyprowadził na scenę ten świat tajemniczy, w którym czynny się przygotowują.“ Ale Browning nie kontentuje się zwykłą analizą psychiczną — ciągnął dalej zapalenia chwały — o, nie, dla niego każda dusza jest nowym i odmiennym przejawem „idei dobra“ i uchylen od niej, co służy mu do wprowadzenia w dramaty pojęć i przekonań moralnych. Wprowadzenie znów psychologii i etyki do sztuki ma stanowić główną, cechę oryginalności Browninga, która powinna mu dać pierwszorzędną miejsce nie tylko w literaturze angielskiej, ale nawet i w europejskiej. Zobaczmy, o ile sądy te są słuszne.

Psychologia Browninga posiada wartość nader podejrzaną. Nie jest to francuska, realna analiza, chcąca wywodzić czyny ludzkie z pobudek duchowych, lecz idealizm najgorszego gatunku, zaprawiony sosem protestanckim. Zdaniem jego, fakty życia duchowego nie podlegają prawom przyrodzonym, nie są zaważunkowane przez zjawiska realne, które nauka współczesna bada, lecz cel i ujście swe mają w „pierwo-

tnej świadomej przyczynie.“ Sztuka powinna wyjaśniać stosunki pomiędzy duszą ludzką a Bogiem. Analizując uczucia, namiętności, pojęcia i wierzenia swych bohaterów, Browning stara się odnaleźć związek ich ze światem nadzmysłowym. W „przesileniach wewnętrznych“ duszy szuka on „objawienia boskiego.“ Widzimy więc, iż mamy tu do czynienia z metafizyką najgorszego gatunku. Rzeczywiście, Browning wciąż płynął przeciw ogólnemu prądowi naszego wieku, który w doświadczeniu widzi alfę i omegę ludzkiego poznania, istotę nauki. On na miejscu ich stawia wiarę, a z obiektywnym badaniem toczy bezustanne walki.

Z drugiej strony zachodzi pytanie, czy „teatr duszy“, który Browning miał stworzyć, nie jest swego rodzaju „contradictio in adjecto.“ Zdaniem jego, dramat kończy się tam, gdzie się akcja rozpoczyna — to też wszystko redukuje się u niego do mniej lub więcej nudnych monologów, w których bohaterowie opisują swe położenia i zapomocą deklamacyi wyrażają stan swej duszy. Tymczasem sama istota dramatu wymaga, by „przełomy duchowe“ przejawiały się nie tyle w słowach, ile w „czynach zewnętrznych.“ A zresztą, czyż można od stworzyć duszę w jej całości, wyjaśnić złożony jej mechanizm, nie postawiwszy bohatera w odpowiednich sytuacjach, nie wprawiając go w ruch i życie? Cała przeszłość sztuki dramatycznej każe dać przeczącą odpowiedź, a utwory Browninga na pewno w tej dziedzinie przewrotu nie robią. Nie potrafił on ani jednej nowej struny w duszy ludzkiej, a wszystkie jego „analizy“ są tylko powtórzeniem tego, co przez innych było już stokroć powiedziane i to w sposób bez porównania doskonałszy. Mamy tu najbanalniejsze uczucia i najbanalniejsze ich „kryzysy“, przedstawione w formie nudnej, nienadającej się do sceny.

Ale, gdy kogoś do Panteonu zanieśiono, trzeba mu ze wszystkich wad porobić zalety, szczególnie zaś, gdy tego rodzaju zalety można policzyć na karb mistycznego „teatru duszy.“ Nie zapominajmy wszakże, iż Browning „wprowadza do sztuki ideały moralne“ — a czerpał je z owej niezrównanej a wiadomej krynicy dobra, piękna i prawdy. Dzieje ludzkości są rodzajem wielkiego koncertu, w którym panuje wieczna harmonia: każda jednostka przyczynia się do zaprowadzenia porządku wyższego, spełniając swe obowiązki na zgóry naznaczonym szczeblu drabiny społecznej. Kto zgrzytliwy ton do harmonii tej wprowadza, będzie potępiony, reszta — powiększy grono aniołów. To też każdy biedak jest w istocie rzeczy równie szczęśliwy, jak i bogacz. Oto np. „Pippa“, biedna robotnica z Asolo, zazdroszcząca czterem najbogatszym ludziom z tego enotliwego miasta, przekonywa się nareszcie, iż jest szczęśliwszą od nich, albowiem nie posiada ich utrapień; wprawdzie nie spostrzegła ona, iż utrapienia te nie wspólnego z bogactwem ich nie mają, ale to bynajmniej nie zmienia owego porządku, jaki w głowie Browninga panuje. A oto i „filozof“ Kleon dowodzi, że materialne bogactwo prowadzi wprost do potępienia. Radujcie się więc biedacy i szukajcie szczęścia „moralnego“, zwłaszcza, że w ten sposób zyskacie nieśmiertelność na tamtym świecie i to niechybnie: p. Browning gotów przysiąc. Ale pocóż mamy wyliczać morały „wielkiego dramaturga“, jeżeli możemy przedstawić je w artystycznym zastosowaniu. Moglibyśmy to uczynić na pierwszym lepszym utworze, gdyż wszędzie znaleźć można odpowiedni bukiet tych kwiatków przepysznych, ale wolimy wybrać najsłynniejsze, wiekopomne — zdaniem niektórych — dzieło Browninga: „Paracelsus.“ Przy samem brzmieniu tego nazwiska słyszę górnotłone tyrady uczonych angielek — złożonych z duszy i włosów, jak mówią Goncourtowie. Jakąż bowiem czuła dusza się nie rozrzewni, czytając jego okrutne monologi? W rzeczywistości „Pa-

racelsus“ jest karykaturą Fausta: zwiechnięte dziecko naszego wieku, a przynajmniej okresu romantycznego, zamieniło się u Browninga na wykolejonego sklepikarza, a jaskrawe fajerwerki śmiechu Mefista i wspaniałe obrazy ciszy, wśród których Faust stara się ukoić burzę swego serca i głowy — wszystko to przetopilo się na umiarkowaną, okliwą i nabożną gadaninę Paracelsusa. Bohater ten, w pierwszym akcie, będąc studentem w Würzburgu, oświadcza swym kolegom, iż, palony żądzą wiedzy, puszcza się w świat dla poznania istoty rzeczy. Celu, rozumie się, nie dopiął i w dziewięć lat później spotykamy go rozczarowanego w Konstantynopolu. Rozpacz jego — jak autor zapewnia — jest głęboka, ale na szczęście zjawia się — nie Mefisto — nie, tylko słodkawy poeta, Aprile, wskazujący naszemu bohaterowi sławę i miłość, które brak wiedzy zastąpić potrafią. Paracelsus przyjmuje dobrą radę i zaczyna od sławy. Dla zdobycia jej zostaje profesorem w Bazylei, ale na stanowisku tem dał się poznać bardziej z szarlatanizmu, niż z umiejętności i inteligencji, za co też wypędzono go z miasta. Wówczas przechodzi do miłości i stawia sobie za cel „używać nadal w tym samym stopniu, co i poznawać“ — jaki on umiarkowany, ten Faust, nieprawda? Marne też są jego miłości. To wymacerowany śledz, któremu, rozumie się, ani o nauce, ani o sławie, ani o użyciu nicma co marzyć. Przechodzi jeszcze lat 12 i znajdujemy naszego bohatera w Salzburgu, umierającego. Tutaj nareszcie Paracelsus odkrył odpowiednią dlań filozofię, poznał „i ludzkość i prawdę.“ Przyznaje więc, iż całe jego życie było błędem; wszelkie dążenia i zapęły — to głupstwa. Nie trzeba było tracić czasu na szukanie ideałów (lecz siedzieć za kantorem kupieckim i sprzedawać pieprz — dodajmy od siebie). Nie trzeba było zbyt wiele wymagać od ludzi: „Serce moje — mówi on — nie było dość rozumne, by przyznać, że nawet nienawiść ludzka jest maską miłości, aby widzieć dobro w złem i nadzieję w niepowodzeniu, aby sympatyzować we wszystkim z bliźnimi, być zadowolonym z ich niedoręczności, drobnych dążeń, ubogich złudzeń, przesądów, trosk i wątpliwości“ — wszystko to bowiem w boskiej harmonii świata jest koniecznym. „Tego ja nie wiedziałem i oto czemu spotkało mnie niepowodzenie“ — taki jest ostateczny wniosek Paracelsusa. Nas dziwi tylko to, czemu on tej błogiej filozofii tak długo nie spostrzegał. Wogóle zaś czyni Paracelsus wrażenie zwiechniętego filisterka, który chybił swego naturalnego zadania: zyskowej kariery, ożenku z sutyim posagiem i kupy dzieci. Ale w najlepszym ze wszystkich światów wszystko dzieje się jaknajlepiej a każdy filisterek kończy tak, jak mu skończyć w danej sytuacji należy. Wprawdzie Paracelsus nie zdążył zastosować w życiu swej filozofii, ale przynajmniej pozostawił ją potomności — za co godzien umieszczenia w Westminsterze.

Browning w utworach swych mało zwraca uwagi na historyczne prawdopodobieństwo. W jednym np. z dyalogów przyjmują udział: król Dawid, sam autor i Renan, przyczem ten ostatni wyraża się językiem ciemnym i zaplątanym, znajdującym się w uderzającej sprzeczności z przejrzystym stylem znanego filozofa. Browning używa wszystkim bez wyjątku nietylko swego zamiatwanego stylu, ale zarazem i drobno-mieszczącej filozofii. Umieścił ją w duszy greka Kleona, araba Karchisha itd., a trzeba wiedzieć, że bierze on tematy i osoby z najrozmaitszych miejsc i czasów. Są tu: Ateny starożytne, Rzym pogański i chrześcijański, średnie wieki, Odrodzenie, czasy nowe. Bohaterów zaś swych bierze z Wenecyi, Rosyi, Persyi, Normandyi, Syryi, Arabii itd. Bohaterowie ci — to zwykle sam autor, który, poprzebierany w najrozmaitsze kostiumy, kręci się po scenie i de-

klamuje stylem „orakularnym“ o stanie swej duszy — często też chory go zastępuje. Rozumie się, iż o charakterystyce osób, odpowiadającej najskromniejszemu wymaganiom „analizy psychologicznej“, mowy tu być nie może. I dlatego większa część niezliczonych dramatów Browninga — zawartych w dwudziestu kilku tomach — to płody poronione. Nie ma w nich ani akeyi, ani żywych osób, ani głębszych i oryginalnych myśli. Dodajmy nareszcie, iż forma zewnętrzna jest, zdaniem wszystkich, stroną najsłabszą jego utworów. Wprawdzie wierni jego uczniowie pocieszają się tem, że Gothe miał gdzieś, kiedyś powiedzieć, iż ważną jest dla poety rzeczą, aby był niepojęty i wskazują nawet, jako przykład, drugą część *Fausta*. Można by tu śmiało zastosować przysłowie: „Quod licet Jovi...“ Istotnie „orakularny“ styl zwykle służy u niemieckiego mistrza za formę dla nadzwyczaj głębokich i oryginalnych pomysłów, tymczasem z gęstych ciemności stylu Browninga nigdy nie wystrzeli ani jedna iskierka geniuszu. Dodajmy, iż wierszowanie jego jest okropne, a rymy — koszlawe, a będziemy mieli pojęcie o formie zewnętrznej. Jeden z krytyków angielskich mówi pod tym względem: „Jeżeli Browningowi udało się kiedykolwiek napisać zdanie harmonijne i obrazowe, to natychmiast, jakby żałując tego, dodaje wiersz najbardziej ciemny i chropawy.“

Oprócz dramatów pisywał Browning i wiersze liryczne — nie przedstawiają one wszakże nic godnego uwagi. Przed samą śmiercią puścił on w świat tomik zatytułowany: *Asolando (Fancies and facts.)* Są to przeważnie wiersze erotyczne. Śmiać się trzeba, gdy czytamy, iż osiemdziesięcioletni ten starzec, stojący nad mogiłą, uważa, że największe szczęście w życiu polega na „pocałunku dziewczyny“ (Summum bonum). W innym miejscu zbioru autor opowiada nam, jak miłość jego przeżyła obelgę (White Witchcraft), a nawet — pęknięcie serca (Bad dreams). Wogóle „Asolando“ nie dodaje ani jednej nowej nuty do poprzednich poezyi Browninga.

Leon Winiarski.

LITERATURA POLSKA.

Wincenty Kosiakiewicz: *Druty telegraficzne*. Warszawa, 1890.

Trudno mi rozwodzić się długo nad zbiorkiem nowel p. Kosiakiewicza, które mają tę właściwość, że nie wzbudzają w czytelniku obfitego i trwałego wątku myśli, a morzą na temat nadprodukcji nowelistycznej — znudziły. Słusznie autor nazwał te swoje dzieci duchowe *Drutami telegraficznymi*. Są one istotnie nieco podobne do drutów, bo i mają ich sztywność, i tak samo jak tamte czepiają się słupów reklamy, tak samo izolowane od powszedniości, tu i ówdzie ozdobione wróbelkiem banalnym, który tak dobrze zna tę swoją grzędę, że mu nie zdarzy się chyba połamać skrzydełek, jak ptaszekowi w tytułowej nowelce p. K. Ale jest i pewna różnica. Po drutach telegraficznych bieży utajona iskra wstrząsającej elektryczności, po prętach zaś autora płynie powolny a nieprzerwany potok łatwego, lecz bezbarwnego — gawędziarstwa. Nie choć tem ubliżać formie nieraz artystycznej, zwłaszcza tam gdzie występuje indywidualność autora. O stylu jego niepodobna powiedzieć „ex ungue leonem...“ A szkoda, bo p. K. miewa niezłe pomysły, które odziane w oryginalniejszą szatę artystyczną i opromienione szerokim polotem myśli, mogłyby mieć donioślejsze znaczenie w naszej beletrystyce, niż mają, spełniając rolę wiecznie przesypującego się piasku w odciapkach, tych klepsydrach żywota polskich pism codziennych... Ale na to potrzeba in-

nych warunków, niż może dać twórczość nowelistów wyszrubowanych tylko korbą, redaktorską, lub, co jeszcze gorsza — walką o chleb... Pomysły zaś p. Kosiakiewicza bywają bardzo wdzięczne, należycie zaś wyzyskane mogłyby urosć do rozmiarów powieści społecznej. Mam na myśli nowelę p. n. *Bogaci wujostwo*. Jednej z pańien Szperkowskich poszczęściło się wyjść bogato za mąż za zamożnego rzeźnika, mającego przytem dużą kamienicę w Warszawie, dla drugich los świata mieszczańskiego był mniej łaskawym: powychodziły w rodzinie mieszkanie Kaliszu, jedna za szewca, druga za woźnego sądu okręgowego, trzecia najgorzej, bo za młynarza. Wszystkie pokrzywdzone przez dolę zazdrościły szczęśliwej Maryni. Stokrotnie musiały na to się zgodzić, że „teraz na świecie nie znaczy ani piękność, ani dobroć, tylko pieniądze lub szczęście.“ Najpiękniejsza z siostr, pani woźnina, klepała biedę. Z czasem jednak, pogodziwszy się z rzeczywistością, przestały jej zazdrościć i z zamilowaniem opowiadały kumom o bardzo bogatej a bezdzietnej siostrze w Warszawie. Staś, najstarszy syn woźnego, cheiwie przysłuchiwał się tym opowiadaniom w otoczeniu pełnem niedostatku domu rodzicielskiego, „bogactw wujostwo“ przywykł uważać za ideał niedościągły. Było to olniewające przeciwstawienie do jego rodziców, w ciężkiej pracy żyjących. „Kamienice... wujostwa, to sławną legendową kamienicę, wyobrażał sobie jako miejsce ubłogosławione wszelkimi dobrami ziemskimi, których brak tak często odczuwał... Musiało tam być tak dobrze, jak w raju samym... Nie znał on ani wuja, ani ciotki, bo nie przyjeżdżali oni do Kalisza; ale poznał tych sławnych ludzi, o których tyle słyszał od matki i ciotek, było gorącym pragnieniem jego duszy.“ Z tym ówiekiem w głowie wzrastał i rozwijał w sobie odpowiednie pojęcia i uczucia etyczne. Skończył szkołę elementarną, przeterminował sześć lat u piekarza, jako czeładnik, uzbierał trochę pieniędzy i udał się do Warszawy. Dom wujostwa, jak i oni sami zaimponowali mu. Dostał robotę w piekarni i co niedziela odwiedzał wujostwo. Całymi godzinami przesiadując z nimi, najczęściej milczał i wpatrywał się w nich, krzepiąc ich atmosferą sknerstwa i chciwości mieszczańskiej swego ducha. A potem znów cały tydzień pracował do upadłego, dostając za niezwykłą wydajność siły roboczej większe wynagrodzenie od przedsiębiorcy. Ciął i z nadmiernych wysiłków nad wiek staro wyglądał, będąc lubianym przez pracodawcę a niecierpianym — przez towarzyszy. Przyjemności życiowe dla niego nie istniały. Za to miał dużo oszczędności, które oddawał na przechowanie ciotce, ciągle pobudzany do wytrwania na obranej drodze cnoty mieszczańskiej — przez ciotkę. Teraz ideałem jego było, dzięki radom wujostwa, wrócić do Kalisza, założyć tam piekarnię, ożenić się z rzadną a posazną „panienką uczciwą“, a potem doczekać się odwiedzin wujostwa. Stało się według jego marzeń. Założył piekarnię, odrzucił rodzoną matkę, która się domawiała o pomoc dla siebie i reszty jego rodzeństwa, ożenił się z dziewczyną, która mu wniosła domek z dwoma morgami gruntu, dwie krowy itd. Ubierał się tak samo jak wuj, w długi surdut za kolana i cylinder. Ostatnie jego pragnienie spełniło się: wujostwo go odwiedziło i dali mu błogosławieństwo na dalszą drogę żywota mieszczańskiego. Ale cóż? Po spełnieniu wszystkich swoich pragnień, Staś poczuł straszliwą pustkę w duszy — cel, jedyny cel w życiu osiągnął. Dalej zabrakło mu podniety, zaczął pić, z początku po dwa kufle, potem po trzy co wieczór, a teraz — już po cztery. Gdyby p. Kosiakiewicz umiał wnikać głębiej w mieszczańską psychologię tworzenia kapitałów, przekonałby się, że najczęściej taki wielbiciel „bogactw wujostwa“, przebywszy z amatorstwa podobną tresurę dłu-

goletnią, tak łatwo nie szuka celu w potrojonej liczbie knfli: pije w dalszym ciągu piwo i nie przestaje znajdować przyjemności w oszczędzaniu, tem bardziej, że znajduje bodziec w dzieciach i może już czerpać „oszczędności“ nie z własnej siły roboczej, lecz nadpracy cudzej... Za zasługę poczytać muszę p. K., że noweli swoich nie podłaz mdłym sosem moralów. Obrazek jego *Pan sędzia poluje* wyróżnia się z rzędu innych staranniejszem, pełnem poezji obrobieniem artystycznym.

Zyg. Piet.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Bestye odkryte w ludziach przez Nordauna. — Walka byków w Paryżu. — Wyścigi angielskie. — Uroczysty wjazd czworonożnego bohatera. — Jednogarniturowi naśladowcy wielogarniturowych. — Ludzie którzy noszą wesołość i zabawę w sobie. — Po co do nas przyjechał anglik — Najnowsza etyka Prusa. — Walka o byt i cele życia. — Wymiana usług między p. Piltzem a p. Szymańskim. — Do Friedrichsruh.

Słynny autor *Konwencyonalnych kłamstw*, opisując nowowprowadzone do Paryża igrzyska na wzór hiszpańskich walk byków, powiada w swej korespondencji: „Ani jedno barbarzyństwo przeszłości, ani jedna zwierzęcość ludzi pierwotnych nie została pokonana i wykorzeniona; wszystkie one żyją dalej, utajone, milczące i zdrobniałe, ale tylko dopóty, dopóki ścisła je obroza prawa a obyczaj przechadza się przed kratami ich klatki z rozpaloną sztabą żelazną. Skoro tylko uczujemy się bezpieczni i usuniemy straż, bestye dobywają się na zewnątrz i tryumfująco wyciągają swoje straszliwe członki na słońce naszego sławnego stulecia postępu... Wkopmy się nieco w głąb naszego życia duchowego a znajdziemy w niem wszystkie krwawe i lubieżne instynkty dzikich. Jedynie prawo i obyczaje przeszkadzają nam wrócić do okropności wieków minionych. Chęć do cofnięcia się wcale nam nie brak, i niech tylko zwierzęcość pozwoli, a z fanatyzmem tłoczyć się będziemy na widowiska ludożerczo, im bardziej ludożerczo, tem lepsze.“ Łaknącym też zysku kapitalistom M. Nordaun rzuca pomysł, ażeby porozumiewawszy się z królem Dahomey, gdzie dotąd corocznie setki ludzi giną na ołtarzach ofiarnych, wydzierżawili od niego te rzecze i przewozili na nie europejczyków.

Ostatnie wyścigi (Derby) angielskie dostarczyły swym uczestnikom niebywałych wzruszeń. „Faworyt,“ sławą okryty Shurefoot, którego zwycięztwo przepowiadano we wszystkich pismach i którego „obstawiono“ zakładami w stosunku 95 przeciw 40, został pobity przez Sainfoina, naraziwszy swych wielbicieli na nieobliczone straty. Drugie miejsce u mety otrzymał dostojny Le Nord, który przybył z Francji osobnym pociągiem i umyślnie wynajętym statkiem. Pomimo że deszcz wylewał się z chmur rzekami, całe wyższe towarzystwo Anglii przybyło na wyścigi i z drżeniem serc, zawsze uderzających czią i miłością ku gieniuszom, przypatrywało się popisowi czworonożnych bohaterów, używających dziś największej chwały i znaczenia wśród ludzkości. Żadna matka człowiecza nie urodziła nigdy syna, któryby swą wartością dorównywał znakomitemu folblutowi, któregoby przybrany ojciec wozil na występy publiczne osobnymi pociągami i statkami, z którym każda kobieta uważałaby za zaszczyt mieć potomstwo, którego zarówno podziwialiby wszyscy. Śpiewacy i koncertanci osiągnęli dotąd najwyższe zarobki za swe występy; ale czy był kiedykolwiek

na świecie tak szczęśliwy, któryby za jeden występ otrzymał sumę zbliżoną do nagrody Derby lub *grand prix*? Czy wy możecie pojąć tę ironię, z jaką Shurefooty i Sainfoiny oglądaliby dramaturgów i komedypisarzów, zdobywających z listkiem wawrzynu na konkursach 150 lub 300 rs. za swe utwory, gdyby naturalnie u swych dostojnych kopyt mogli dojrzeć tak małe robaczki?

Jeżeli tedy w Paryżu „la bête humaine“ — jak nazywa Zola, lub „Urbestie“ — jak nazywa Nordaun — nasycą się wrażeniami walki byków, jeżeli Europe objędzą kat, który wśród tłumu słuchaczy miewa odczyty z „doświadczeniami,“ jeżeli w Anglii koń Sainfoin przewyższa chwałą Tennysona, mamyż się dziwić naszym „sportsmenom,“ uragającym ulewę dla zobaczenia własnymi oczami, który koń na polu Mokotowskim wprzód do mety przybiegnie? Trzeba być sprawiedliwym. Wprawdzie ci nasi „sportsmeni“ mają nieraz tyle „gumy“ ochronnej przeciw deszczowi, ile na kalosze potrzeba; wprawdzie często nie posiadają oni nawet drugiego ubrania i butów na zmianę po przemoknięciu; wprawdzie nie jeden z nich musi wyrzec się obiadu lub długo błagać matkę i ciotkę o pieniądze na kupno biletu wejścia (nawet nie siedzenia); ale wszystko to naprzód wcale nie dowodzi, ażebyśmy nie byli krewniakami narodów wysoko ucywilizowanych i nie mieli prawa do szlachetnych rozrywek a powtóre pamiętać trzeba, że braki zapasowych spodni, koszul, butów i pieniędzy wynagradzają nam z nadwyżką nadzwyczajną obfitość dobrego humoru. „Szczęśliwy — powiada sprawozdawca *Kuryera codz.* z wycieczki wioślarzów do Jablonny — kto nosi zabawę i wesołość w sobie.“ Tak, my je nosimy w sobie. To też jeżeli i bogaci lordowie, posiadający dostatek garderoby, pojechali na Derby w ulewę, to nie dziwnego; ale gdy nasi wioślarze wśród potoków deszczu bawili się wybornie, to dopiero jest prawdziwa „dzielność“ i dowód zadowolenia z życia. Najzupełniej wierzę temu, że pewien anglik, zasłyszawszy, jaką oni a resztą my wszyscy nosimy „zabawę i wesołość w sobie,“ przyjechał umyślnie dla sprawdzenia owego szczęścia własnymi oczami i przyjął udział w wycieczce do Jablonny. Byłby on wprost potwarcą, gdyby po powrocie nie opowiedział rodakom, że patrzył na rzeczy, o których nawet filozofom się nie śniło.

Jeżeli ów anglik — jak twierdzi sprawozdawca *Kuryera* — podziwiał dowcip jednego z wioślarzów, przebranego za handlarza, to zapewne rozumie po polsku i czytał kronikę Prusa. W takim razie będzie on mógł objaśnić swoich ziomków, że nad Wisłą istnieje naród, który nie tylko „nosi wesołość i zabawę w sobie,“ ale przytem posiada „ultra-liberałów,“ którym moralność „wydaje się rzeczą zbyteczną“ oraz znakomitego powieściopisarza, który dowodzi, że kradzież, oszustwo, rozbój i wszelkie występki są usprawiedliwiane w „prawidłach nowej etyki“ walką o byt, że — według niego — tylko „głupcy i szarlatani“ widzą w tej walce prawo natury, że takim prawem życia jest raczej „wspieranie i wymiana usług“ — „stopniowe doskonalenie się.“ Na ojezyzną teorii Darwina to „prawidło zdrowego rozsądku“ padnie niewątpliwie promieniem słonecznej mądrości. Wyznaję, że i ja zawdzięczam mu rozwidnienie się mroków mojej ciemnej głowy. Nie słyszałem bowiem dotąd o takich „ultra-postępowcach,“ dla których moralność byłaby „rzeczą zbyteczną;“ nie słyszałem o takiej „nowej etyce,“ któraby usprawiedliwiała wszelkie zbrodnie walką o byt; nie przypuszczałem wreszcie, że ta walka, którą tyle narodów uważa za zadanie swego życia, jest tak zdrożną. Zdawało mi się, że zarówno twory przyrody, jak i ludzie nie mają jednego celu, będącego wyłączną przyczyną ich objawów i sprzężną działań, lecz posia-

dają rozmaite, szczegółowe, czasowe cele, między którymi znaleźć się może także walka o byt. Bogowie chyba tylko z Prusem wiedzieli, że jeśli mnie napastuje zbój lub grabi rabuś, to ja nie powinienem w obronie zapominać o „doskonaleniu się,“ że jeśli miliony innych ludzi są w podobnym położeniu, to również nie powinni słuchać „szarlatanów,“ głoszących, że walka o byt jest dla zagrożonych najbliższym celem. Nowonawróconemu wolno wiele nie wiedzieć i o wiele pytać. Otóż niech mnie szanowny pogromca „ultra-postępowców“ łaskawie pouczy: jak się ma dokonywać „wymiana usług“ pod wziesioną maczugą lub przyłożonym do piersi rewolwerem? Czy ona ma polegać na walce o byt, tj. na odpięciu wroga, czy też na „wspieraniu“ go? Pytanie to jest ważnem dlatego, że — niestety — na świecie daleko więcej uwija się „bestyj“ Nordauna, niż idealów „prawdziwej moralności“ Prusa. Skoro zaś nie jednostki, ale miliony rozwiązywać muszą zagadnienie swego bytu, to trzebaż im poradzić, w jaki sposób mają, bez obrażania najnowszej etyki, dopełniać „wymiany usług,“ które grożą ich istnieniu. Prus nas pociesza, że nawet „sama śmierć jest niczem więcej, tylko zwroceniem ziemi tych pierwiastków, których ci na budowę twego ciała pożyczono;“ wątplię wszakże, czy on sam nie rozpocząłby walki o byt z kimś, kto by mu chciał pomódz do „zwrocenia ziemi tych pierwiastków, których ona mu na budowę ciała pożyczyla.“ Może nie całkiem pozbawioną jest sensu teoria, według której „cele“ przyrody należy wywnioskowywać z jej procesów i objawów *a posteriori* a nie narzucać ich jej *a priori*. Otóż — o ile dotąd zbadano — najpowszechniejszem pragnieniem wszelkich tworów natury a więc i ludzi jest dążność do utrzymania się przy życiu, instynkt samozachowawczy, który wobec tamujących go warunków musi prowadzić do walki o byt. Walki tej Darwin nie wymyślił i nie wynalazł, ale ją odkrył w całej przyrodzie i dlatego nazwał prawem.

Nieszczęściem wszelkich teorii naukowych są beletryści zwłaszcza francuscy, z niezmiernie rzadkimi wyjątkami ludzie myślący płytko. Daudet w osobie szachraja życiowego upostaciował słynną zasadę Darwinowską; jego *Walkę o byt* przedstawiono w naszym teatrze, więc na podstawie wątku tej (dość lichy) komedii zaczęto wysnuwać rozmaite wnioski przyrodniczo-moralne. Wygląda to tak, jak gdybyś na breloku przy dewizce, naśladowającym trupią głowę, chciał wykladać anatomię czaszki lub fizjologię mózgu.

Pomiędzy p. E. Piltzem, redaktorem *Kraju*, a p. A. Szymańskim, znanym powieściopisarzem, nastąpiła „wymiana usług.“ P. Piltz, człowiek w wysokim stopniu lekkomyślny, ze wszystkich właściwości Achillesa posiadający tylko jego pięty a mimo to odbywający surowe sądy nad innymi w imieniu moralności społecznej, oskarżył p. Sz., że ten w drugim tomie swych *Szkiców* wprowadza do umysłów „bierność, poddanie się losowi i inne równie niepożądane rzeczy,“ że ostrożnie podsuwa czytelnikom „teoryjkę o marności etyki zachodniej“ i że swoje ideały czerpie ze źródeł wschodnich. Naprzód wogóle plamienie charakteru pisarza znanymi stworzonych przez niego artystycznie postaci jest rzeczą w krytyce nieprzystojną; powtóre p. Sz. w drugim tomie swych *Szkiców* (jak czytelnicy wkrótce o tem się przekonają) żadnej zarazy moralnej nie sieje, a potrzebie grunt etyczny obecnych jego utworów nieczem się nie różni od gruntu poprzednich, którym *Kraj* z pokłonem i wiwatami otwierał swe kolumny. Ani tedy p. Piltzowi, ani redaktorowi *Kraju*, ani krytykowi nie wypadało w ten sposób piętnować autora. Nie też dziwnego, że p. Sz. uczuł się pokrzywdzonym i że odparł cios tem odbiciem, które w pojedynkach

polemicznych z p. Piltzem zwykle bywa używane. „P. Piltz — pisze on w *Wieku* — waryatem nie jest, o czym wie każdy, jest jednak człowiekiem nieuczciwym, o czym jeszcze nie wszyscy dostatecznie są przekonani... On woli wymyśli, z którymi się zmiłczał i które mu zresztą do twarzy; zmilczawszy więc wtedy, udaje teraz, że nie rozumiał mojej etyki w „Hanusi“, jakkolwiek ja szczerze myślałem, że przedewszystkiem on, jako człowiek zabiegły, wdzięcznym mi za taką etykę będzie... Nie dotykaj pan tego — woła w końcu — czego mi zabrać nie możesz, choćbym nie żył i bronić się nie mógł. Nie weźmiesz mi pan nic, a siebie obrzucisz nowem błotem i w dodatku takim, którego nawet i trochę przytępienie sumienie społeczne nie... lubi.“ W ostatniem zdaniu tkwi nieco przesady, bo p. Szymański nie przedstawia takiej nieetykalności, której obrazu mogłaby stanowić najwyższy stopień przewinień p. Piltza; cała wszakże odprawa jest wyrazem oburzenia słusznego i byłaby dla redaktora *Kraju* pouczającą, gdyby on na swoich doświadczeniach się uczył. Niestety, objawia on wobec nich dziwną niepojętność, czego wielce żałować należy, nie ze względu na niego (pozostawmy mu swobodę gustu), ale ze względu na jego pismo, które nie będąc nawet tem, czem z zabawną fanfaronadą się mieni, mogłoby spełniać poważną i użyteczną rolę, a dzięki nietaktowi swego kierownika służy za tarozę dla wzgardliwych grotów.

Zamiast wyścielać autorom łóżka pokrzywanami i parzyć się samemu, powinienby p. Piltz zużytkować swój talent właściwiej i wyjednać sobie rozmówkę u ks. Bismarka, który w przyjmowaniu dziennikarzy przestał być wybrednym, a w wynurzaniu się przed nimi wstrzemięźliwym. Pomijając wartość takiego „interviewu“ dla *Kraju* (p. Piltz lepiej ją rozumie ode mnie), należałoby istotnie dowiedzieć się, jakie powody miał „żelazny książę“ do wygnania 30,000 niewinnych ludzi z dzielnic prusko-polskich. Dotąd bowiem — jak wyznaje prasa niemiecka — pozostaje to tajemnicą, którą wartoby odsłonić. A zatem, pożegnawszy gniewną miną p. Szymańskiego — do Friedrichsrühl!

Posel Prawdy.

Z D A L A.

„Kustarstwo“ ruskie. — Dążność do podniesienia poziomu techniki rolniczej wśród włościan. — Najnowsze szczydła dla drobnej własności ziemskiej. — Pleszkow, jako symbol. — *Baltische Hilfsverein*. — Najsukuteczniejszy środek. — Nadpodaż rąk najemnych.

Wiele dziś polityka ekonomiczna robi dla wielkiego przemysłu w Rosyi, ale nie chce też być w długu i względem drobnego. W marcu 1888 r., na mocy Najwyższej zatwierdzonego zdania, postanowiono w ciągu pięciu lat corocznie oszczędzać po 35,000 rs. na popieranie „kustarstwa.“ Artele, tulska i wotkińska, zyskały urzędowy rynek zbytu w postaci zamówień ministerium dóbr państwa. Nie dość tego, w niedalekiej przyszłości, jak twierdzi *Deń*, mają być mianowani *starostowie kustarni*, których zadaniem będzie doskonalenie techniki drobnoprzemysłowej i popieranie rozwoju małej produkcji przetwórczej. Wskazówką kierowniczą w tej mierze musiałby być materiał statystyczny, zdobyty w ciągu kilkunastu lat badań. Literatura ruska w tym zakresie jest tak bogata, że zachodnia Europa, inicjatorka prądu drobnoprzemysłowego, pochwalić się równą nie może, nasi zaś „drobnoprzemysłowicy“ ducha by wyzionęli, gdyby na ich głowy spadł grad tomów odnośnej statystyki. Jedno ziemstwo moskiewskie np. poświęciło „kustarstwu“ całej gubernii aż 6 tomów, lecz

najwięcej na tem polu zasłużyła się komisya do przemysłu drobnego: wyniki jej badań obejmują 15 tomów. Jest to najdrobiazgowszy opis nie tylko najróżnorodniejszych gałęzi przemysłu wszystkich krańców Rosyi, ale zarazem materiał porównawczy. Przyszli „starostowie“ jednak, idąc tam po wskazówki, zgubią się w tym lesie faktów. Dlatego też przezorny *Deń* dobrze radzi ministerium, żeby dopomogło do wydania podręcznika 2—3-tomowego, dostępnego nie tylko dla przyszłych zawiadowców „kustarstwa“, lecz i dla szerszej publiczności.

Podjęte w ostatnich czasach próby rozpowszechnienia wśród ludności wiejskiej sadownictwa, ogrodnictwa, jedwabnictwa, oraz innych gałęzi przemysłu rolnego wypadły świetnie. Głównym środkiem były elementarne szkoły ludowe, przy których w tym celu, z udziałem instytucji miejscowych i osób prywatnych, zakładano szkoły owocowe, sady, plantacje jedwabnicze itp. Ale rozwojowi tej sprawy stoi na przeszkodzie brak nauczycieli, dostatecznie obeznanych z gospodarstwem wiejskiem. Dla zapobieżenia tej niedogodności minister dóbr państwa wyjednał pozwolenie na otwieranie w miesiącach letnich — kursów bezpłatnych w zakresie niektórych gałęzi gospodarstwa wiejskiego. Celem ich ma być wykształcenie świadomych rzeczy instruktorów włościańskich. Otwierane one będą przy specjalnych instytucjach ministerium i istnieć mają, rodzajem próby, trzy lata. Na kursy przyjmowani będą, w miarę możliwości, nauczyciele ludowi i wychowawcy seminarjów nauczycielskich oraz inne osoby wydziału naukowego. Inni zaś kandydatami do kursów mogą zostać za szczególnem zezwoleniem departamentu rolnictwa i gospodarstwa wiejskiego. Nauczanie ma być dwójakie: teoretyczne i praktyczne. Na pierwsze przeznaczone będzie od 3—12 godzin tygodniowo, na praktyczne zaś zajęcia i pogadanki nie mniej niż 6 godzin dziennie wypadać będzie. Kierownicy kursów dostawać będą wynagrodzenie z sum departamentu rolnictwa i gospodarstwa wiejskiego, w wysokości 150 rs, miesięcznie.

Jak wiadomo, jeszcze w zeszłym roku przy ministerium spraw wewnętrznych założono pod kierownictwem senatora Plewego komisję do wypracowania środków zapobiegających epidemicznemu wywłaszczaniu przez kulaków, skupiających w swoich rękach ziemię. Otóż obecnie, jak donoszą *Moskowskija Wiedomosti*, komisya ta ukończyła swoje prace nad tem zagadnieniem.

Świat, niestrudzony tropiciel intrygi i wrogich światu skłowińskiemu zamiarów, odkrył w Berlinie kolebkę z noworodkiem emigrantów nadbytych, imieniem *Baltische Hilfsverein*. Instytucya ta upodobała sobie maskę filantropii, ale właściwą twarz ma — polityczną. Celem jej ma być popieranie odrębności niemieckiej w kraju nadbaltyckim, jak wiadomo, podporządkowanemu obecnie w zakresie wychowania publicznego i sądownictwa interesom państwa. Idzie tu o podtrzymanie za pomocą pieniędzy i broszur protestantyzmu, kultury rodzimej i ducha niemieckiego.

Och, ten ich duch! Mądry on jest — obrał sobie szkołę i hypnotyzuje dzieci pod gościnnym dachem państwowym — w kierunku odrębności narodowej. Korespondent wołyński *Dniwnika warszawskiego* utrzymuje, iż winą to władz. Szkoły niemieckie na Wołyniu należą do rzędu ministeryalnych, kończący je korzystają wobec służby wojskowej z takich samych ulg, jak ci, co ukończyli szkoły ludowe. Tymczasem w tych ostatnich nauczycielami są osoby, które wyszły z seminarjów pedagogicznych lub ci, którzy pozdawali wymagane egzaminy na nauczycieli ludowych; nauczycielami zaś w szkołach niemieckich są ludzie mało obeznani z językiem niemieckim a zupełnie nieznający ruskiego, czyli tacy, którzy nie mają prawa nauczać. Wprawdzie mi-

nisterium uznało za niezbędne dopuścić do seminarjów pedagogicznych młodzież z kolonistów wyznania luterńskiego. Dla przygotowania się zaś do seminarjów pozwolono dzieciom miejscowych Niemców uczęszczać do miejskich szkół dwuklasowych. Zdawałoby się, że sprawa jest na dobrej drodze, ale nie tak to widzi korespondent. Najprzód wątpi, czy Niemcy zechcą swoje dzieci do pomienionych szkół i seminarjów oddawać, a powtóre, jeśli zechcieli, to nauczyciele otrzymani w ten sposób z Niemców zacząć działać w myśl dobra państwa dopiero za jakie 10—12 lat, licząc od roku bieżącego, w którym właśnie władze uwia-domiły kolonistów o tem życzeniu ministra. Cóż będzie z niemieckimi szkołami w obecnej postaci do tego czasu? „Wyjście, naszym zdaniem — powiada korespondent — jest tylko jedno: teraźniejsi nauczyciele w szkołach niemieckich niezwłocznie winni albo zdać egzamin na nauczycieli ludowych, albo opuścić zajmowane miejsca. Jeżeli niema przez kogo zastąpić tych, którzyby nie zdali egzaminu, to lepiej na pewien czas pozamykać te szkoły, aniżeli pozostawiać w dotychczasowym stanie. W szkołach ministeryalnych nie mogą zostawać nauczycielami koloniści niewykształceni. Ci, którzy istotnie mogą być nauczycielami, zdadzą egzamin i pozostaną nimi, resztę należy usunąć lub zastąpić ruskimi, albo też szkoły zamknąć. Tak czy owak, a skończyć z tem koniecznie należy; nie można przecież pozwolić, żeby w szkołach ministeryalnych wychowywały się wrogi dla nas żywioły i szkodliwi członkowie społeczeństwa.“

Południowe gubernie Rosyi nie mogą się uskarżać tego roku jak i lat poprzednich na brak rąk roboczych. Pisma przepełnione są wieściami o napływie w tamte strony najmitów wiejskich. Szczególnie dużo zbiegło się w Kachówce (gub. taurycka), gdzie w początkach maja bywa jarmark i zwykle dokonywa się najem rolników. Większość z nich pochodzi z gubernij: mohylewskiej, połtawskiej, czernikowskiej i w części z kijowskiej. Miejscowi starzy ludzie nie pamiętają jeszcze takiego napływu robotniczego. Ale smutny ich los. Napłynęli w nadmiarze, złe urodzaje, powodujące zwężenie warsztatu pracy u roli, jeszcze bardziej czynią ich zbytecznymi tam. Dwa razy więcej ich przyszło, niż w roku przeszłym. Jedni więc musieli się ponajmować do t. z. „Pokrowu“ (1 października starego stylu) za 25—45 rs., inni po 10—12 dniowej nużącej wędrowki, wydawszy ostatni grosz i zdarłszy obuwie, muszą wrócić z niczem do domu, żebrząc po drodze. *Krymskij Wiestnik* utrzymuje, że właściciele ziemscy powściągli się od najmu, chociaż w czasie jarmarku spadły deszcze, mogące dodatnio wpłynąć na posiewy. Ogólna liczba poszukiwaczy zarobku w Kachówce dosięga — 40,000! Najęto zaś mniej, niż czwartą część, z reszty niektórzy popowracali do domu, większość udała się dalej na południe i do Chersonu.

Z. Atanazy.

KRONIKA.

Z S A D U.

Dnia 20 listopada roku zeszłego poruszył Warszawę wypadek niezwykły: z trzeciego piętra domu przy ulicy Złotej wyskoczyła oknem na ulicę 14-letnia dziewczynka, Antonina Zołotnicka, córka lekarza wojskowego, która dzięki osłabnięciu siły spadku przez zaczepienie się o balkon i latarnię nie uległa natychmiastowej śmierci, lecz tylko silnemu pokaleczeniu. Doraźne zbadanie wypadku wykazało, że jego przyczyną był zamiar samobójczy dziecka tyranizowanego przez rodziców i zagrożonego chłostą. Przeprowadzone

śledztwo ujawniło szereg okrucieństw i znęcań się. Mieszkańcy domu oraz służący zeznali, że Żołotnicy córkę swoją morzyli głodem, bili, oblewali nieczystościami, trzymali w zimnej wodzie, skazywali na sypianie w kuchni z dienszczykami itd., a ostatniego dnia ojciec miał jej dać 150 różeg. Dziewczynka chroniła się przed karami do znajomych i nieznanym, nawet do Czerwonego Krzyża, żebrała o opiekę i litość, nareszcie nie mogąc znieść męczarni, wyskoczyła oknem. Przed sądem wszakże odwołała ona swe poprzednie zeznania; powołani przytem przez Żołotnickich świadkowie zaprzeczyli całej podstawie aktu oskarżenia. Pan adwokat Peplowski dowodził, że jego klienci nie przekroczyli w swem postępowaniu granic władzy rodzicielskiej. Zgodnie z jego wywodami sąd oboje oskarżonych uniewinnił.

Szkoły. P. Matylda Zawrocka otrzymała pozwolenie na otwarcie w Warszawie szkółki froeblovskiej dla dzieci 4—7-letnich.

Ruskie Towarzystwo techniczne wniosło do ministerium oświaty projekt ustanowienia podatku od fabryk, zakładów naukowych itd. na utworzenie funduszu szkolnego z przeznaczeniem go na kursy wieczorne szkół fabrycznych.

Kurator warszawskiego okręgu naukowego na zasadzie ukazu z d. 19 kwietnia 1886 r. wydał rozporządzenie, ażeby naczelnicy dyrekcji naukowych i inspektor szkół m. Warszawy na świadectwach wychowawców 2-klasowych szkół miejskich czynili wzmiankę, iż uczniowie ci mają prawo wstąpienia do szkół technicznych, utrzymywanych kosztem kolei w Królestwie Polskiem, z warunkiem powtórnego składania egzaminu z języka ruskiego i matematyki, w zakresie programu zatwierdzonego dla szkół dwuklasowych miejskich i wiejskich.

Wychowawcy szkół techniczno - telegraficznych, mający stopień technika I-ej klasy, chcący otrzymać stopień inżyniera telegrafu, podlegać będą egzaminowi. Do dyrektora szkoły powinno być wniesione podanie o wyznaczenie tematu do wypracowania specjalnego projektu, dotyczącego sposobu telegrafowania, budowy i urządzeń telegrafów lub telefonów, albo też nowości i ulepszeń w dziedzinie elektro-techniki. Po wyznaczeniu tematu projekt powinien być wykonany najdalej w ciągu roku i następnie ze zdaniem i poświadczaniem właściwego zarządu lub okręgu pocztowo-telegraficznego, zwrócony na ręce dyrektora szkoły. W razie uznania pracy, kandydat musi bronić swojej rozprawy przed specjalną komisją w Petersburgu.

W r. p. ma być zmieniona ustawa, dotycząca egzaminów dojrzałości w gimnazjach klasycznych. Będą wprowadzone egzaminy ustne ze wszystkich przedmiotów kursu gimnazjalnego.

Ministerium oświaty wyjaśniło, iż uczniowie 3-iej klasy szkół realnych przy przejściu do 4-iej powinni składać egzaminy ustne z obu języków nowożytnych.

Przy gimnazjum 2-em w Warszawie wkrótce będzie wykonany specjalny budynek dla ćwiczeń gimnastycznych.

Stała komisja do spraw wykształcenia technicznego złożyła wykaz książek do bibliotek uczniowskich przy szkołach robotniczych. Przystąpiono już do utworzenia bibliotek przy siedmiu takich szkołach.

Dr. Stanisław Kostanecki został profesorem chemii teoretycznej i organicznej przy wydziale filozoficznym na uniwersytecie w Bernie (Szwajcarya).

Nowe gimnazjum czwarte we Lwowie nosić będzie nazwę „gimnazjum Adama Mickiewicza.”

Wiadomości społeczne. Z zapisu Tekli Świętockiej rozdzieloną będzie w r. b. suma 428 rs. 58 kop. pomiędzy sześć biednych wdów lub sierot małoletnich po zegarmistrzach. Podania przyjmuje magistrat warszawski do 12 lipca.

Grażdanin donosi o projektowaniu zawiązaniu prawosławnego bractwa religijno-moralnego, z działalnością na całe Cesarstwo.

Felcerzy warszawscy, żydzi, udali się do władzy miejskiej z prośbą o pozwolenie utworzenia własnej kasy oszczędnościowej, na ogólnych zasadach. P. prezydent przyjął prośbę przychylnie i wystąpił z przedstawieniem do władzy wyższej.

Opracowano ustawę dla bezpłatnych czytelników, które mogą nabywać książki i wydawnictwa peryodyczne, tylko zalecone i przedstawione przez komitet ministerium oświaty. Wkrótce będzie wydany odpowiedni katalog.

Projekt utworzenia stałych przytułków noclegowych w Warszawie jest bliskim urzeczywistnieniem. Potrzebnych środków dostarczy p. oberpoli majster z funduszy oddanych do jego rozporządzenia. Plac na budowę gmachu przeznacza bezpłatnie zarząd miejski.

Podobno w celach oszczędnościowych ma być zmniejszony personel stacyi telefonicznej w Warszawie.

W „Zbiorze praw” ogłoszono ustawę kasy pożyczkowo-oszczędnościowej w Sieradzu.

Poruszono sprawę obmyślenia środków, zapobiegających wyzyskiwaniu dzieci przez wędrownych akrobatów, muzykantów itd.

Zarząd akcyjnego Tow. pożyczkowego w Warszawie, przed wyjednanem pozwolenia wydawania ubogiej ludności drobnych kwot (pożyczki kopiejkowe) na zastaw odzieży i przedmiotów użytku domowego, tymczasowo polecił dawać zaliczenia dwurublowe na zastaw tych przedmiotów, z wyjątkiem futer, pościeli i odzieży bardzo zużytej.

W Poznaniu utworzyła się spółka rolników niemieckich, celem nabywania nowych kolonij.

Sprawy kolejowe. W ministerium komunikacji wkrótce będą robione próby z najpraktyczniejszym aparatem do oświetlenia elektrycznego pociągów i toru za pomocą latarni umieszczonej przed parowozem.

Ministerium komunikacji poleciło zarządom tutejszych kolei donosić o wszystkich wakujących posadach inżynierów. Koleje przed nominacją obowiązane są takich kandydatów przedstawiać do uznania ministerium.

Zarządy kolei Nadwiślańskiej i Dąbrowskiej mają wybudować w pobliżu stacyi Iwangród linie w celu połączenia obu torów, dla udogodnienia przejazdu pociągów w kierunku Łuków-Dąbrowa i Kowel-Dąbrowa.

Minister komunikacji złożył w komitecie ministrów projekt sieci dróg podjazdowych do stacyi węzłowych na wszystkich kolejach, o ile ruch w tych punktach przewyższa 500,000 pudów rocznie.

Komitet ministrów przeglądał w tych dniach projekt połączenia kolei: Kursko-Charkowsko-Azowskiej, Kozłowsko-Woroneskiej i Orłowsko-Griazkiej w jedno towarzystwo „kolei Południowo-Wschodnich.”

Zarząd kolei państwowych opracował nową ustawę kas przeznaczonej dla pracowników kolejowych. Z nowych instytucji korzystać będą robotnicy, którzy stracili możność pracy wskutek wypadku lub wieku podeszłego.

Ministerium komunikacji zaleciło wszystkim zarządom kolejowym znieść system wyższych kar, a natomiast wydalać ze służby tych pracowników, którzy na kary takie zasłużyli.

Zarząd kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, uwzględniając nadzwyczaj trudne obowiązki służbowe pomocników wagenmajstrów (spinalczy), połączone z niebezpieczeństwem, postanowił dotychczasowe uposażenie ich, 200 rs. rocznie podnieść przez wyznaczenie odpowiedniego dodatku do pensyi, lub podwyższenie etatowego wynagrodzenia do 300 rs.

Komunikacja. Wkrótce wydane będą nowe przepisy o pośredniczeniu w rozdawaniu korespondencji pocztowej przez zarządy gminne osobom prywatnym i ustanowieniu skrzynek do listów przy zarządach gminnych, które za ich pośrednictwem bez otwierania odwołane będą do najbliższych stacyi pocztowych. Nadto mają być stopniowo organizowane stacje pocztowe w zarządach gminnych, które nie będą mogły przyjmować tylko listów pieniężnych. Pierwsza próba urządzona będzie w gub. czernihowskiej.

Ma być przeprowadzony telegraf od osady Sumskiej wzdłuż morza Białego przez Kołę do granicy norweską.

Europejska komisja dunajowa postanowiła przebić nowe ujście rzeki, skutkiem czego bieg Dunaju między Sulimą i Gałaczem skróci się o 8 kilometrów.

Wystawy. Ministerium skarbu zatwierdziło projekt wystawy środkowo-azyatyckiej, która się odbędzie w Moskwie między 27 września a 27 października r. b.

Ministerium dóbr państwa uzyskało kredyt rs. 10,000 na urządzenie wystawy przemysłowo-rolniczej w Taszkencie.

W Kolonii będzie otwarta w sierpniu wystawa papieru i jego fabrykacji.

Międzynarodowa wystawa górnicza otwarta będzie w Londynie.

W jesieni odbędą się wystawy rolnicze i drobno-przemysłu w Borysoglebsku i Jekaterynosławiu.

W Kazaniu otwarto wystawę etnograficzną i przemysłu wołko-kemskiego.

Wiadomości administracyjne. Minister spraw wewnętrznych zatwierdził projekt zreformowania policji miejskiej i wiejskiej w Królestwie Polskiem, na wzór ogólnej organizacji w Cesarstwie.

Ministerium spraw zewnętrznych opracowało projekt sądów konsularnych w dwóch instancjach: pierwszą stanowić będzie sam konsul, drugą — konsul i radcy konsulat. Najwyższą instancję ma stanowić rada, złożona z konsułów generalnych. Władza sądowa konsułów zrównana będzie z władzą sędziów pokoju. Projektowana organizacja sądów konsularnych ma na celu ułatwienie przebiegu niektórych spraw i uwolnienie strony od przenoszenia spraw do Rosyi.

Rolnictwo. Zatwierdzono projekt komisji rolniczych, które mogą być tworzone przy towarzystwach rolniczych i innych pokrewnych instytucjach. Do składu komisji wchodzi: właściciele ziemscy i urzędnicy administracyjni. Komisje mają się zajmować popieraniem rolnictwa, ogrodnictwa, pszczelnictwa itd.

Smoleńskie Towarzystwo rozesało p. Engelharta za granicę, celem zawiązania bezpośrednich stosunków między wytwórcami w kraju a kupcami zagranicznymi.

Termin sprowadzenia zwłok Mickiewicza z Paryża do Krakowa jest ciągle zmieniany i niepewny. Miało to nastąpić 5 lipca, potem 1 lipca, obecnie znowu 27 czerwca, a jak świeżo syn poety uwładniał w *Kuryerze warsz.* — 30 b. m.

Bibliografia. *Prac filologicznych*, tom III, zeszyt 2.

Dr. W. Lewicki, *Nasze czy obce żywioły*, str. 89. (O ciekawej tej pracy mówiliśmy szczegółowo w *Prawdzie*).

J. Berkeley, *Rzecz o zasadach poznania*, przekł. F. Jezerski, str. 150.

Gamaston, *Fata morgana*, str. 275, Gebethner i Wolff.

Wielka encyklopedia powsz. ilustr., zeszyt 6.

Rudolf Falb, *Przewroty we wszechświecie*, str. 323 (z ilustracyami), Gebethner i Wolff.

Zmarli. Otton v. Breitschvert, w Conststadt, historyk cywilizacji.

Dr. Henryk Schneebeli, prof. fizyki doświadczałnej w politechnice zurychskiej.

Henryk Fleige, w Monachium, rzeźbiarz.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Incognito w Bzinie. Organem skargi na opieszałość księży w restaurowaniu kościołów nie może być *Prawda*, ale *Przegląd katolicki* lub inne pokrewne mu pisma. Ukaranie robotnika kolejowego 15-ma rublami za sturublowy podarek w podaniu do zwierzchnika o awans było głównie z tego względu za surowem, że ten błąd nie chciał nikomu ubliżyć, ale zastosować się do zwyczaju.

S. K. „Praca organiczna” oznacza pracę nad rozwojem wewnętrznych sił społeczeństwa.

Stale czytelniczko. Myśl jasna; trzy kobiety kochają się w jednym mężczyźnie i każda z nich widzi go całkiem inaczej.

Uwaga. Redakcja rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

O g ł o s z e n i a.

STUDENT UNIwersytetu chciałby wyjechać na kondycję na wieś. Włodzimierska 9, pok. 6; od g. 2 do 7.

Wydawnictwo Spółki Nakładowej.

WYBORU PISM

Henryka Heinego

w przekładzie: Maryi Konopnickiej, Józefa Kościelskiego, Aleksandra Kraushara i innych, wyszedł w wydaniu ozdobnem

Tom pierwszy

z portretem autora i zawiera: Życiorys poety, przez A. Kraushara, oraz Intermezzo, Powrót, Nową wiosnę, Różne, Romanse, Obrazy morza północnego, Baśń zimową i Melodye hebrajskie. Cena rs. 1 k. 20, z przesyłką poczt. rs. 1 k. 40.

Uwaga. Następny tom „Wyboru pism” Heinego, zawierający „Podróż do Harzu” i „Włochy,” wyjdzie niezapóźno.

Magazyn Mebli
MAKSYMILJANA KALMUS poleca:
w Warszawie, Grzybowska 37,

Różnego rodzaju Meble, poczynwszy od najskromniejszych
do najwykwintniejszych — stylowych.

Przyjmuje również zamówienia na kompletne urządzenia
mieszkań.

Fabryka i Magazyn Jubilerski M. Mankielewicz

w gmachu Teatru pod filarami.

W WARSZAWIE.

Poleca w największym i jedynym w swoim rodzaju wybo-
rze: Brylanty, Perły i kolorowe kamienie nieoprawne, Bi-
żuterję brylantową, Biżuterję brylantową z perłami i ko-
lorowymi kamieniami, Biżuterję złotą, wytwornej roboty,
Biżuterję złotą tanią, Biżuterję srebrną; Przedmioty fanta-
zyjne jako to: Bonbonierki, Flakony do perfum, Breloki,
Ołówki, Obsadki do piór, Szczyrki, Noże do papieru itp.
Wyroby srebrne: Puhary, Karafki do wina, Kubki, Pod-
stawki do szklanek, Kółka do serwet, Przybory dziecinne
na pamiątkę chrztu, Wieńce laurowe, Wieńce i drzewka
srebrnego wesela, Papierośnice, Portmonety, Woreczki do
drobnych pieniędzy, Rączki do lasek i Parasolek. Wszystkie
powyższe przedmioty w najnowszych i w przeważnej części
gdzieindziej nie powtarzających się modelach.

Ceny najumiarkowańsze.

MAGAZYN

Ubiórów Męzkich P. KREPSKIEGO

ulica Kotzebue Nr. 11 (Hotel Brühlowski),
w Warszawie.

Do AMERYKI. BILETY JAZDY

Holendersko - ame-
rykańskiego Towa-
rzystwa żeglugi
parowej

w Kantorze Ekspedycyjnym
MAURYCEGO LUXEMBURGA,
Jeneralnego Agenta Towarzystwa
w Warszawie, Erywańska 6.

Wszelkie objaśnienia szybko
i bezpłatnie.

Najkrótsza, najszybsza
i najtańsza podróż.

„Na Raty“

Lustra

sprzedaje miejscowym i na prowincye

Fabryka zwierciadeł

MAURYCEGO Silberberga

8, Rymarska, 8.

Uprasza się o łaskawe
zwrócenie uwagi na
dokładny adres i Nr. 8,
z powodu istniejących firm po-
dobnych.

Newskie



NICK

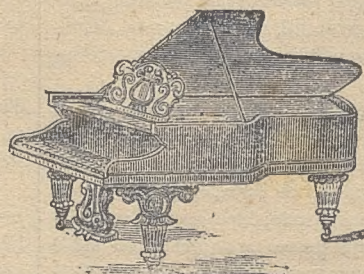
GEBETHNER i WOLFF

NAJWIĘKSZY W KRAJU

Skład Fortepianów i Pianin

Sprzedaż

na raty.



Wynajem

instrumentów.

40, Krakowskie-Przedmieście, 40.

Kotzebue Nr. 2,
w Warszawie.

Magazyn Ubiórów Dziecinnych
S. Przeddzieckiego
ul. Kotzebue Nr. 2
(róg Wierzbowej).

PERSPEKTYWKI

TEATRALNE I POLOWE

ze szklami achromatycznymi,
oprawne w skórę, kość słoniową,
konchę perłową z korpusem ni-
klowym, oksydowanym lub allu-
minowym, w wielkim wyborze
po cenach najniższych w Maga-
zynie Optyczno-Mechanicznym.

Juljana Drehera

Szpitalna 6, w Warszawie.

Uwaga. Zakład otrzymuje stale binokle
i okulary z zagranicznych fabryk w naj-
świeższych fasonach i gatunkach.

BARDZO TANIO!

Roczniki „Prawdy“ od 1881—1887 r.,
Dzieła Drepera, Haackla, Ochrowicza,
Woluminów Legum tom. 10 wydanie
petersburskie, Dziennik Praw 78 tom.,
Przegląd sądowy 17 tomów, Temis Pol-
ski 8 i t. p. książki prawnicze—wszyst-
ko w prześlicznej oprawie, do nabycia
w księgarni Hermastadta, Ś-Krzyżka 36.

F. Drechsler

Warszawa,

Leszno 14.



ROWERY od

rs. 125—250.

BICYKLE od

rs. 100—220.

Używane welocypedy od rs. 50.

ZAKOPANE

urocza miejscowość klimatyczna
w Tatrach. Zakład wodolecznicy

D-ra Chramca.

Całodzienne utrzymanie w Zakładzie
wraz z kuracją od złr. 3.50. Poczta,
telegraf, apteka w miejscu.—W Zakła-
dzie hydropatja, kąpiele borowinowe,
mieszenie, elektryzacja.—Pokoje ele-
ganccko umeblowane i w najlepszym
stanie.—Bilard, gimnastyka, czytelnia.
Na żądanie prospektu wysłane zosta-
na.—Na zamówienie powozy do stacyi
kol. w Chabówce. Zakład rozpo-
rządza obecnie 65 pokojami.

GLÓWNY SKŁAD ZAKŁADÓW ŻYRARDOWSKICH

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście Nr. 55,

poleca:

Tkaniny Bawełniane Białe

własnego wyrobu, zastępujące najzupełniej co do trwałości i wykończenia najlepsze tkaniny francuskie na Bieliznę damską,
męską i pościelową, a mianowicie:

MADAPOLAMY,

Plótna Tyrolskie, Domestiques, Kreasy Bawełniane, Dreliszki i Dymki

w różnych gatunkach, tak w sztukach i pół-sztykach, jako też i na arszyny,

PO NIZKICH CENACH.

Zarządzający Składem Żyrardowskim **L. Bułakowski.**

NB. Cenniki jako też próby z powyższych materiałów, wysyłam na PROWINCJĘ odwrotnie i bezpłatnie.